



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC

ROK 1924. WARSZAWA, 24 MAJA

CENA NUMERU 1 ZŁOTY

T RE Ś Ć N U M E R U :

Wierzba nad urwiskiem—Zofja Rogoszówna. Książka dziecka—Stefanja Szuchowa. Zofja Rogoszówna (zyciorys)—I. M. Klasyfikacja zawodów—C. Wal. Niewyzyskane bogactwa (dok.)—K. S. Świat Kobiety (feljeton) c. d.—Marja Grossak Koryeka Powrót (c. d.)—Stefanja Podhorska-Okołów. Drogami duszy (powieść)—Helena Ceysingerówna. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—K. Bielańska. Nowy przekład „Boskiej Komedji” (dok.)—Marja Hornowska. Na polach pracy i twórczości. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Z życia stowarzyszeń kobiecych. Kącik lekarski—Dr. J. Śmiarowska. Wskazówki praktyczne: 1) Konserwowanie jaj — Pani Elżbieta 2) Wiosenne zabiegi w hodowli drobiu — Morzkowska. Dodatek powieściowy: Pieniądze (autoryzowany przekład z włoskiego R. Centnerszwerowej) c. d.—Ada Negri. Dodatek robót i ubiorów. Tablica krojów.

WIERZBA NAD URWISKIEM

Na urwisku, zgarbiona i krzywa
Z pnem rozdartym stoi wierzba siwa

Cała naprzód podana, schylona
ponad przepaść wyciąga ramiona

i spogląda hen, w dal, ku dolinie,
kiedy rzeki złocisty szlak płynie,

każdej wiosny, z gór lecą strumienie,
podmywając wierzbowe korzenie;

codzień ziemia z pod nóg jej ucieka,
wierzba żyje i patrzy i czeka.

Czasem jeno, kiedy cichą nocą
gwiazd girlandy na niebie migocą,

a słowicza pieśń płynie z oddali,
cicha skarga w jej listkach się żali:

„Wszystkie, wszystkie rozsiane po świecie,
gdybyż jedno przy sobie mieć dziecię!”

Czasem z dolin, gdy wietrzyk przywionie,
wierzba pyta: „Czyś słyszał coś o niej?”

Czy o córce najmłodszej masz wieści?
A wiatr w zeszcylch jej listkach szeleści:

„Wierzbo stara, zgarbiona i siwa
Twoja córka jest bardzo szczęśliwa.

W młodym gaju, co widny nad rzeką,
twemu dziecku, dni słodko się wiekają.”



ZOFJA ROGOSZÓWNA

Stopki nurza w wód falach błękitnych,
słońce pieści puch baż aksamitnych,

a ku niebu tak wznosi koronę,
że wnet ujrzysz, Twe dziecię rodzone.”

Kornym szmerem, listeczki drżą szare:
„Boże usłysz prośbę matki starej,

tyle życia podaruj mi jeszcze,
aż dzieciątko me wzrokiem upieszczę”...

I ramiona wyciąga z daleka,
i w gaj patrzy, i marzy i czeka.

W gaj wpatrzona, stara matka siwa
w córce młodość powtórna przeżywa.

Codzień lecą z słonecznej doliny
jakieś szept, zwierzenia, nowiny.

„W mych gałązkach gniazdeczko ptak wije,
cudny motyl z baż moich, miód pije!

Tak tu ślicznie, nad modrą tą rzeką,
jeno żal mi, żeś Ty tak daleko!

Tak bym chciała, mateńko rodzona,
do Twojego przytulić się łona,

bo mi tęskno, bo żyć mi jest trudno.
niby dobrze, a tak czegoś nudno...

Czy tak zawsze?—mateńko siwiutka?
— Zawsze... zawsze... córeczko malutka.

A w dniu drugim, leci motyl złoty:
„Król wierzb muszkę dziś przysłał w zaloty.

Spójrz mateńko, jak dumne me czoło,
Złote bazie je wieńczą wokóło,

kiedy czasem, pod wiatru pieszczotą
włosy jego z mojami się spleją;

dreszczem dziwnym, gałązki drżą moje...
Tak mi dobrze... tak czegoś się boję...

Czy tak zawsze, mateńko siwiutka?
— Zawsze... zawsze... córeczko malutka".

A wieść trzecią niesie motyl siny,
„Dzisiaj, matuś nasze zaślubiny!

Pobłogosław nas matko jedyna,
bo prócz córki, masz dzisiaj i syna;

Pszczół wyroje nasze głowy wieńczą,
słońce skuwa nas złotą obręczą,

a skowronek w błękicie wydzwania
naszą pierwszą godzinę kochania...

Matuś moja, staruszczyko siwa,
Twoja córka dziś bardzo szczęśliwa!

Od urwiska, szept rwie się, czy łkanie:
„Córko moja, najśladzse kochanie“.

I motylki w słoneczny gaj niosą
listek siwy, sperlony łez rosą.

— — — — —
— — — — —

O południu, nad przepaść schylona,
stara wierzba wyciąga ramiona

i w dal patrzy, gdzie w słońcu, nad wodą
złote pyłki miłosny tan wiodą,

opadając, na wonne, puszyste,
panny młodej warkocze srebrzyste.

Oto w złotej ukryły ją chmurze,
Cisza wkoło... Jeno hen, w lazurze,

sygnaturka skowronka wydzwania
Cud—godzinę—pierwszego kochania...

— — — — —
— — — — —

Na urwisku coś łka, coś się zrywa,
łzami szczęścia płacze wierzba siwa.

Nisko dołem, płyną rzeczne fale,
niosąc jakieś wspomnienia, czy żale.

— — — — —
— — — — —

Lato! lato! dni skwaru, dni suszy,
kora pęka, rozpada się, kruszy,

a korzeni oszalałe wargi
w rozpalone wpijają się piargi.

Wolny, wolno, dzień za dniem upływa
na urwisku kona wierzba siwa...

A w dolinie gaj młody, nadrzeczny
tętni pieśnią miłości odwiecznej.

Postróily się drzewa i kwiaty
w najświetniejsze, najwonnejsze szaty,

wpatrzone w głąb swego odbicia,
ślą w zaświaty pochwalny hymn życia.

Z pośród drzewin, jak złota kolumna,
strzela postać młodzieńcza i dumna.

To król gaju do piersi swej tuli
główkę srebrną kochanki zazuli.

W szczęście dzieci, niby w cud najrzadszy
matka patrzy i patrzy i patrzy,—

I nie pomnąc, że żar w nią się wwierca
grozą śmierci, dosięgając serca,

ku niebiosom westchnie, cicha, blada...
Czy się modli? czy z gwiazdami gada?

Czy z bogami zawiera przymierze,
mękę swoją im niosąc w ofierze?

Cyt., mdlejącej szemranie modlitwy
krzyk rozerwał spłoszonej rybitwy.

— — — — —
— — — — —

Cisza parna, cisza pełna grozy,
aż świst ostry przeleci przez łozy.

Lat tęsknoty udręka straszliwa!
Jakże przetrwa cię staruszka siwa?

W bezdeszczowe dni, okrutne skwary,
ogień pali schorzone konary,

opadają zeschnięte listki siwe...
Wiosną burze srogie, przeraźliwe

toczą z hukiem kamieniste zwały.
rwąc i szarpiąc korzenie w kawały.

Z pod dalekich stóp, sypią się piargi...
Wierzba żyje i cierpi bez skargi.

— — — — —
— — — — —

O dni długie tęsknego czekania,
gdy mgła szara, świat cały zasłania,

nie doczekać się promienia słońca!
Czyliż męce nie będzie już końca?

Każda gałąź łzą bólu ocieka,
Wierzba żyje... i patrzy i czeka.

Aż raz światem... czy sen to? czy mary?
nikną, błedną nadrzeczne opary.

i z rozdrzanych, ułotnych woali,
w których zorza gra barwą opali,

hen, za wodą, ponad rąbek siny
olch bezlistnych i brzoź i wikliny,

zrózowiona przedświttem poranku
cudna wierzba, w srebrzystych ros wianku

splotem gibkich gałązek się zrywa,
zda się woła i wabi i śpiewa:

„Matuś moja, serdeczna, rodzona,
taka byłam za Tobą stęskniona,

Tak się rwałam ku Tobie, ku górze,
aż ramionka wyrosły mi duże.

Patrz, mateńko, siwiutka, zgrzybiała
to ja jestem, córeczka twa mała!

Czy ty widzisz mnie matko jedyna?
— — — — —

Oto szczęścia wybiła godzina!"

W główkę srebrną, strojną blaskiem słońca
matka patrzy i patrzy bez końca,

i ramiona wyciąga spękane:
— „Córko moja! dziecinko kochane!"

— — — — —
— — — — —

O dni cudne, słodkiego poznania!
Zwiewne blaski, uśmiechy, szemrania.

szept gałązki; co wdzięcznie się zgina,
gdy swej matce śle pokłon wierzbiina.

i z żółkłego się nieba wynurzy
mściwe lice archaniola burzy.

Jak szatanów tabun rozpełany,
w skok nadleca drubowie-orkany.

i skłębionych chmur okryci tarczą
raz po razie piorunami warczą.

Strach niemocy przegiął wszystkie drzewa
wtem, z rozdartych nieb, buchła ulewa.

— — — — —
— — — — —

W rozszałanych żywiołów kolisku
walczy wierzba, na skalnem urwisku.

Wściekły wichur rwie w strzępy włos długi
pień spróchniały zlewając wód strugi.

Pręży, skręca się gromem rażona
i już znowu podnosi ramiona,

bo w weżowym błyskawic połysku
widzi dzieci, splecione w uścisku.

Wtedy w szale bezkresnej tęsknoty
piersz podaje pod śmiertelne groty,

i zaklina moce piorunowe,
by godziły w jej zsiwiałą głowę.

Cóż, że orkan na proch ją rozmlęcie
gdy tam—w słońcu.—żyć będzie jej dziecię!

Lecz wołanie umęczonej duszy
szum złowrogi wezbranych wód głuszy.—

To z gór pędzą spienione strumienie,
niosąc grozę i śmierć i zniszczenie.

Ponad gajem, gdzie wzrosła wierzbiina,
przemoc skrzydła potworne rozpina,

— — — — —
— — — — —

Wierzbo! wierzbo! i czemuż o świecie
w skrzepłej piersi jeszcze drgnęło życie?

Poco wznosisz zbolale ramiona,
i jak łachman zdarta, zdziurawiona

Wpizas oczu wyzartych orbity
w gaj nadrzeczny, chmur kirem zakryty?

Ach, napróżno twe oczy goreją
niezmożoną, obłądną nadzieją.

Nad urwiskiem słonecznej doliny
całun śmierci rozpostarł się siny.—

Znikły kwiatów pogodne oczęta,
znikła rzeka, w sierp złoty wygięta,

znikły dzieci uśmiechy promienne.—
Muł pozostał... i zwały kamienne

a z posągu przeczyszczonej miłości
pni strzaskanych biejące kości.

— — — — —
— — — — —

Cicho wierzbo! cicho wierzbo siwa,
cóż, że głuchy jęk piersz Ci rozrywa,

cóż, że w szale swej rozpaczny silnej
bijesz głową o twardy mur skalny,

że po piargu włóczyz włosów szarfy,
niby struny potargane harfy?

Nie nadejdzie śmierć dobra, litosna
Cicho wierzbo... będzie znowu wiosna.

Będą znowu zachody i świty,
znow się pieśnią rozdzwonią błękity,

a choć groza tak piersz twoją stłoczy,
że prócz bólu, nic nie dojrzą oczy,

ty żyć będziesz—i konać na nowo,
aż nieznane dopełni się—słowo.

Bo się wszystko na ziemi przemienia
oprócz męki niezmiennej—cierpienia.

STEFANJA SZUCHOWA

KSIĄŻKA DZIECKA

W bółdzie ciałom Rogoszówny.

Mamo, opowiedz bajkę, nianiu, zaśpiewaj, babciu, mów o kotku, o królewnie, o wilku...

Jeszcze się nikomu o wydawnictwach dla dzieci nie śniło, gdy epik domowy — niania, lub liryk — mamusia, musiały zawsze zaspakajać małe główki spragnione opowieści.

Nikt tych cudownych historyjek nie zapisywał, nie drukował, nikt ich na drugi dzień dobrze nie pamiętał, ale czar bajki przy łóżeczku usłyszanym szedł za człowiekiem przez życie całe, a rytm wierszyka był melodją uroku dzieciństwa.

Dzisiaj coraz mniej piastunek opowiadających dziwne baśnie, a współczesne matki, zdawałoby się — mogą sobie nie suszyć głowy przy wymyślaniu tematów. Tyle jest książek dla dzieci!!! Raz do roku około gwiazdki piętrzą się na stołach księgarskich tęczowe stopy tomików i tomów. Jest chyba w czem wybierać. Zbliżamy się, przerzucamy, szukamy. I cóż: efektowna okładka, obiecujący tytuł, a wewnątrz? Wewnątrz prawie nic. Trochę tandetnych ilustracyj i treść jakakolwiek.

Możnaby dla tej treści jeszcze jedno wymyślić określenie: żadna. A przy bliższym wniknięciu nadać jej jeszcze jeden przymiotnik: budująca. Niegrzeczne dziecko jest tam zawsze ukarane, grzeczne poklepane łaskawie, czysta sukienka, opanowane łakomstwo otrzymują nagrodę, kotek podrapie tego, który na to zasłużył. Sumienie autora i kieszeń wydawcy, mogą być spokojne. A dziecko? Dziecku przecie i tak się wszystko podoba!

Książek mamy dużo. Rzeczy dobrych i pięknych mamy niewiele.

Przerzucając te dziesiątki tomików i tomów, możnaby myśleć, że literatura dla dziecka nie jest gałęzią sztuki, a jedynie gałęzią przemysłu, towarem rzucanym na rynek w określonej porze roku. Nawet autorowie o pięknie już brzmiących nazwiskach — naogół traktujący siebie jako artystów, biorąc się do pisania dla dzieci, jakgdyby zwalniali się z tego trudnego obowiązku. Jeszcze bardziej nie uznają talentu za potrzebny liczni specjaliści od przemawiania do dzieci. Do dzieci mówi się o przyrodzie, o grzeczności, o dobrym sercu i o schludności. Po co tutaj talent? każdy może ułożyć także opowiadanie lub napisawszy najpierw cztery rymy dokomponować do nich bardzo dla dziecka odpowiednią treść. Jeśli się doda jeszcze coś o Polsce, o naszych polach, lasach, ptaszkach będzie cudo nie książeczka i każdego wychowawcę powinna zachwycać.

To też jak prąd czystego, pachnącego powietrza powiał między nami talent Konopnickiej. Ten śpiewający język, te słowa jak farby z palety, ta polskość z krwi i kości — oto co spadło, jak kwiaty z nieba na czekające piosenek dzieci. Książka o krasnoludkach i sierotce Marysi to nie elaborat, to dzieło sztuki. Poeta wychodzi naprzeciw brata swego najbliższego, naprzeciw wyobraźni dziecka, a ze spotkania tego rodzi się uśmiech najgłębszego porozumienia.

Ale zdarza się i w utworach Konopnickiej nuta sentymentalizmu i moralizatorstwa. Nie tak łatwo było zdobyć się na ten najprostszy, do głębi poważny wewnętrzny stosunek do dziecka. Jeszcześmy sobie nie uświadomili, że: przeoczamy fakt, że dziecko nie jest człowiekiem dorosłym, a wartościom mającym uznanie u dorosłego, odpowiadają u dziecka *inne wartości*. Ideał prawdy, nauki, obowiązku moralnego, społecznego — wartości te nie istnieją dla dziecka. Jedno je zastępuje — zabawa! (Claparède). Dla dziecka zabawa jest dobrem, obowiązkiem, pracą... Ale myśmy uparcie zamykali oczy na pęd sił dziecka, częstując je ciągle i przy każdej okazji nauką, obowiązkiem, grzecznością...

Czas płynął. Coraz więcej powstawało dziecięcych książek. Ten i ów z autorów trwożnie schylał głowę przed urażliwym, a nieraz podświadomie krytycznym małym sędzią, ale większość fabrykowała po dawnemu — w imię dobra przyszłych pokoleń pracowicie przyginając, łamiąc, lub wykrzywając niesforne pionki sił dziecięcej duszy.

Tymczasem, jak nurt przeciwny, wywalczała sobie drogi i rozgałęziała się nauka o dziecku, sztuka dla dziecka i mówiło się dużo o trosce, jaką winno być otoczone wychowanie nowych pokoleń. Cóż to jednak mogło obchodzić wydawcę towaru, zwanego książką dla dziecka. Cóż go to mogło obchodzić choćby nawet za firmę brał sobie dwa ciężkiego kalibru słowa: kultura i sztuka?

W dziełku Dębickiego: „Książka i człowiek“ znajdujemy następujące słowa: Nie może książka dziecięca być tylko przemysłem, prowadzonym pod hasłem „nowości“. Musi się stać dziedziną pracy naprawdę kulturalnej i mającej przedewszystkiem na widoku dziecko polskie.

Biorąc pod uwagę to dziecko, rozważymy pokrótce następujące kwestje: czy dziecko czytać powinno, ile, kiedy i jak? Na żadne z tych pytań nie można odpowiedzieć ogólnikową formułą. Dziecko bezwzględnie potrzebu-

je książki i tego, co książka dać może, potrzebowało zawsze. Jeżeli więc w wychowaniu dziecka kierujemy się potrzebami jego natury, musimy mu dać też książkę. Kiedy dziecku zacząć czytać? Dwa, trzy, czteroletnie dziecko ze skupieniem słucha łatwej bajeczki opowiadanej. Przy czytaniu nie skupia się wcale, lub też na bardzo krótko. Jeżeli brak nam fantazji (zainteresowania samego dziecka umięją ją podsycać) poszukajmy natchnienia u autora dobrej książeczki i opowiadajmy. Potem kierujmy się zainteresowaniem i zdolnościami skupienia się dziecka. Ale kierujmy się zainteresowaniem krytycznie! Samo zainteresowanie dziecka nie może być próbą wartości książki. Dzieci, zwłaszcza starsze, cieszyć się mogą i interesować treścią wręcz dla siebie szkodliwą. Ale mimo zainteresowania też przejść nie można.

Zainteresowanie dziecka tematem książki zależy oczywiście bardzo od chwili. Dorosły, gdy nań przychodzi z tych czy innych przyczyn zainteresowanie podróży, historją, lub miłością, idzie i wybiera książki o podróży, lub miłości. Dziecko książek nie wybiera. Jemu trzeba książki wybrać. Trzeba więc dziecko znać. Znać jego wrażliwość zakres pojęć, typ wyobraźni, zainteresowanie stałe i chwilowe.

A teraz bardzo ważne pytanie: Ile dziecku dać czytać. Czy pozwolić na „pochłanianie“ książek? Jestto indywidualne, ale dość ogólnie możemy twierdzić: czytanie dla dziecka musi być ograniczone. *Nie może ono grozić sile rozrostu innych popędów rozwojowych dziecka!* Trzeba je od razu uczyć czytać raczej mało, a rzetelnie i równo — przyzwyczajając do treści nie sensacyjnej, a siłami własnej jaźni mocno przyjmowanej. Trzeba je nauczyć rozumieć wagę słowa, i wychować na zdrowej treści i to na pięknej polszczyźnie.

A teraz jakie mamy książki dla dzieci? Fantastyczne i realistyczne. Są matki, które odrzucają baśni. Są autorki i wychowawcy, którzy te baśni apoteozują. I jedno i drugie wpływa z chaosu pojęć i z nieznamomości dziecka. Wyobraźnia dziecka na każdym kroku zmienia i przekształca rzeczywistość. Najrealniej wychowane dziecko robi z wółka od kanapy lokomotywę, a z dywanu otchłań morską. Nie przeszkadza mu to być ostrożnym wobec prawdziwej lokomotywy i głębokiej wody.

Wybór książki realistycznej, czy fantastycznej zależy musi od tego, w jakim momencie rozwojowym znajduje się dziecko i tylko uważna obserwacja może nas o tem pouczyć. W życiu każdego dziecka występuje

moment, w którym z wielką radością odnajduje w cudzych słowach własne doświadczenie, fakty rodzinne, bliskie, znane z życia codziennego. Nauczyciele znają dobrze ten wybuch niespodziewanej radości u dzieci, uczących się czytać, gdy przeczytają same pierwszy raz w elementarzu tego rodzaju zdanie jak: „mam buty“ lub „kot pije mleko“ i t. p. W klasie pełno wtedy okrzyków „i ja mam buty“ „i mój kot pije mleko“. Życie i książka spotkały się poraz pierwszy. Dziecko znalazło w książce słowną fotografię życia. I zachwyciło je to właśnie, że jest to fotografia słowna, fakt, że wyrażone jest słowami w książce to, co się czyni i widzi samemu. Jest to chyba pierwszy etap obcowania z książkami. Wtedy jest pora na dobrą książkę realistyczną.

Ale tak na dużych, jak i na małych przychodzi chwila tęsknoty za czymś, co w zwykłych warunkach jest niemożliwe, lub potrzeba syntezy tak wielkiej, że ramy rzeczywistości jej nie ujmą.

Dajmy wówczas bez strachu szklaną górę, lub krasnoludków. Umysł się nie zbałamuci, lecz wysubtelni i wzbogaci. „Bo co się tyczy duszy, jedyną zasadą jest nie mieć wcale zasad“.

Przejrzyjmy zatem realistyczne i fantastyczne książki naszej literatury dziecięcej.

Mamy kilka doskonałych książek polskich i tłumaczonych, których treść nie przekracza ram życia codziennego. Czytanki Falskiego, dla najmłodszych. Nad dalekim cichym fjordem. Dzieciństwo młoteczki (Sekner) „Moi chłopcy“ (Sejerstam). Bolińskiej: O szczęśliwym chłopcu. Powalskiego: W słońcu, (arcydzieło naszej literatury, z życia dzieci czerpiącej tematy). Ten typ książki wpływa umoralniająco w bardzo pedagogiczny sposób bez moralizującego mizdrzenia się do dzieci, poprostu przez samo piętno, przez możliwość piętna codziennego życia. Odsuwa się jakby jedna ściana pokoju w domu, w którym to, co się dzieje, jest śliczną, a prawdziwą historią. Myślę, że dzieciom, wychowanym na takiej lekturze z życia obyczajowego, nie będzie w przyszłości potrzebny ten realizm, którym Zapolska i jej podobni chcą naprawiać ohydy życia współczesnego.

Wejźmy teraz w krainę fantazji. U wrót jej winien stać stróż i nie wpuszczać tam pisarzy bez talentu. Od biedy ktoś znający dziecko i władający dobrze językiem polskim może ułożyć dobrą realistyczną książkę, ale nigdy nie napisze dobrej fantastycznej. Z chwilą kiedy ptak zaczyna mówić, drzewo zwierzać się, może mu tej władzy użyć jedynie poeta. Książki, w których pedagogzy operują niemożliwościami ze względów dydaktycznych, rażą nas jako sztuczne

i naciągane. Ptaszki mówiące słowami ludzkimi po to, aby dziecko zachwyciło się osobnikami pożytecznymi, a wzgardziło rabusiami i szkodnikami, oddalają je tylko od ducha natury. Jeżeli się nie jest poetą, dużo prościej dać dziecku naukowe oświetlenie faktu — to nie zawiedzie nigdy i nie fałszując prawdy nie sfalszuje i piękna.

Z krainy fantazji dajmy dziecku baśnie pisane, że się tak wyrażę — przez ludzkość. Aby dokonać właściwego wyboru wpośród wielu opracowań baśni, przydałaby się staranna bibliografia tego rodzaju wydawnictw. Niestety, nie posiadamy jej. Z konieczności więc wzmianki, które tu zamieszczam, są pobieżne i nie wyczerpujące tematu. Mamy więc opracowania Glińskiego i Gawińskiego, Bronisławy Ostrowskiej, Markowskiej i małą, bardzo piękną książeczkę Kasprowicza. Mamy kilka tłumaczeń Andersena, z tych jedno z ilustracjami Dulac'a.

Do najpiękniej wydanych książek należą: „Przygody Piotrusia Pana“ Barri'go z ilustracjami Rackhama. Piękna to bardzo całość, którą stworzył wielki talent autora, ilustratora, i tłumaczki — Rogoszówny.

Starszym dzieciom dajmy „Cudowną Podróż“ Selmy Lagerlöff, gdzie realizm i fantazja przeplatają się misternie i artystycznie.

Jest to arcydzieło w swoim rodzaju z wielkim pietyzmem dla dziecka stworzone.

Wracając do literatury polskiej wspomnieć trzeba dwa zbiorki wierszyków niedawno wydane Młakowiczówny: Rymy dziecięce: J. Porazińskiej: W Wojtusiowej izbie. Niepospolity talent Młakowiczówny odtworzył typ wyobraźni dziecięcej, schwytał na gorącym uczynku reakcje uczuciowe dziecka, podśledził nieprzypadkowe postacie, wyraził dziecinne powiedzenia i sformowania. Jest tam czysty, piękny liryzm kołysanki i tragizm żołnierzy, co jechali na wojnę i humor figielków... prosiątka. Małutka to książeczka, ale nadzwyczajnie bogata i świeża.

W Wojtusiowej izbie — to gadki i śpiewki w stylu ludowym. Autorka,

nie powtarza gadek ludowych, tworzy je sama, czerpiąc z motywów ludowych. Tworzy, jak lud żywiołowo, fantastycznie, a konsekwentnie. Wszystko, co jest w izbie, żyje, szepcze, kłóci się, gada, tańczy. Wyobraźnia ludowa i tak pokrewna jej wyobraźnia dziecka hulają tu dowoli. Pogrzebacz tańczy z miotłą, ścierka kłóci się z nieustępliwą płamą na podłodze, a kaktus z fuksją na oknie, „trepki z klepki“ uciekają ze strachu przed beczką. Cały ten świat fikcyjny ma siłę konsekwentnej spistości, a wskutek tego i harmonję. Widzimy wtedy jasno anemiczną błądź tych licznych, rozwodnionych naśladownictw Andersena do niemożliwości „naciągniętych“, w których bez najmniejszej żywej lub artystycznej potrzeby pantofle czynią zwierzenia kanarkowi.

Kończąc ten pobieżny przegląd literatury dziecięcej, powtórzmy sobie: Dziecko trzeba traktować ze względu na mały zakres jego doświadczeń, wiadomości i jego wielką wrażliwość — uważnie, ale ze względu na jego potrzeby — poważnie. Nie należy, do dziecka mówiąc, zmieniać tonu, sztucznym błaznowaniem zastępować zdrowego humoru, klepaniem po ramieniu — pięknego języka.

Nie zalecamy dziecku tak natrętnie wspaniałomyślności, szlachetności, te zalety kształci się w ogniu życia, nie na papierze. Nie dadzą rady temu dziełu częstochowskie wierszyki, ani cikliwa proza. Ale jest coś, co trudnemu dziełu wychowania dziecka pomaga: to wyrabianie poczucia piękna — i rzetelność stosunku autora do dziecka.

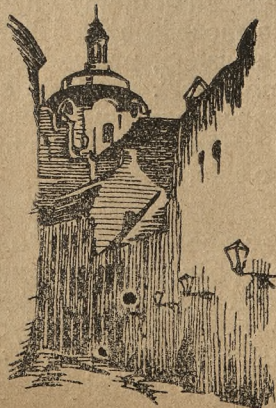
Mieliśmy artystkę i cichą reformatorkę w opracowywaniu literatury dla dziecka. Zbyt wcześnie zgasła. Była nią Rogoszówna. Zaledwie parę tomików zdołała dać polskiemu dziecku — jakże cennych!

Zbiera i daje dziecku ludowe przypowieści polskie, zamiast o Polsce moralizować. Zaprasza do współpracy Stryjeńską, chce dać całość przemyślaną, opracowaną z pietyzmem, harmonijną.

Dalej: tłumacząc, wybiera rzeczy znakomite i tłumaczy je świetnie. Wreszcie rozumie, że wesołość, humor, żartobliwość, to część cnoty dziecka. Bezcenne są Jej strofy z „Dzieci Pana Majstra“, darzące zdrowym i szczerym humorem.

Marzy o wydawaniu artystycznego pisemka dla dzieci. Wszędzie w każdej stroficy, w każdym niemal słowie znać w niej troskę o dziecko.

Jak matka, która oddziela dziecku najlepszy kęs i obdarzy najmniejszą poduszczką pod głowę, tak Rogoszówna najpiękniejsze błyski swego talentu ofiarowuje młoteczkom. Talent i miłość Ją wiodły. Śmierć im drogę przecięła. Cześć Jej pamięci!



ZOFJA ROGOSZÓWNA

UR. 1882 + 1921 R.

Promienna dusza — przeciwna dola.

Z wyjątkiem dzieciństwa, którego wspomnienie „sielskie — anielskie” znalazło odbicie w pierwszym utworze literackim p. t. „Dziecinny Dwór”, życie Rogoszówny było smutne. Los nie oszczędził Jej najcięższych doświadczeń życiowych: utraty osób najdroższych i utraty zdrowia. W okresie młodzieńczym traci ojca i wkrótce potem tragiczną śmiercią — 19-nastoletniego, ukochanego i jedyne go brata; w dwudziestej pierwszej wiosnie życia zapada na nieuleczalną chorobę płuc, — która stopniowo przeżera silny i odporny organizm.

Odtąd serce, które żyło przywiązaniem i miłością do rodziny i przyjaciół, skazane jest na ciągłe rozstania i męki samotności w wędrówkach po miejscowościach klimatycznych w kraju i zagranicą, — a żywy temperament i wola twórczego czynu — na przymusową bezczynność i wegetację w cieplarnianej atmosferze sanatoriów, poza nawiasem pełnego, bujnego i owocnego życia. Ta potworna walka z nieuleczalną chorobą, która chwilami przycicha, by znów wybuchnąć gwałtownym pogorszeniem, — te ciągłe tragiczne nawroty od nadziei do beznadziejności, — przy ograniczonych środkach materialnych, zdobywanych z nieludzkim trudem i cudowną wytrwałością przez ukochaną matkę — dla ratowania najdroższego dziecka, — wystarczyłyby, aby zniszczyć pogodę i wyższy polot ducha każdej przeciętnej duszy ludzkiej, sprowadzając bytowanie jej do codziennych trosk ochraniań i utrzymania zdrowia, — lub do chorobliwej, z dnia na dzień obliczonej żądzy użycia...

Ale w duszy Rogoszówny tak bogaty był siew zdrowego, przedniego ziarna, że chwasty rozrosnąć się w niej nie mogły; biło w tej duszy tak czyste i kryształowe źródło miłości ludzi, tak bogate i niespożyte uczucie, że ani sobkostwo, ani gorycz nigdy dostępu do niej nie miały.

Urodzona w Nowem Siole koło Stryja, miała 8 lat, gdy przeprowadzili się rodzice na wieś koło Krakowa (Zborówek); w 12-stym roku jej życia przenieśli się na stałe do Krakowa.

Jako studentka „Kursów Wyższych dla Kobiet im. Baranieckiego” poznała szereg dziewcząt z Królestwa i Litwy, które w początkach 1900 r. tłumnie zjeżdżały do Krakowa, szukając wiedzy i swobodniejszego wyrazu uczuć i myśli narodowo-społecznych po rusyfikacyjnej — i niezdrowej atmosferze szkoły średniej w zaborze rosyjskim.

Czułej i głębokiej wrażliwości Rogoszówny nie wystarczała samolubna i pusta rola panny na wydaniu, — i bywanie w mieszczańsko-szlacheckich

domach krakowskich, przesiąkniętych dulszczyzną najrozmaitszego gatunku szybko ją zmużyło. Szukała instynktownie szerszych horyzontów, żywych serc i mocnych intelektów. I szybko wyczuła wśród koleżanek z rosyjskiego zaboru duchy pokrewne sobie, — zbliżyła się do nich — i przyjęta jako „swoją osobą” weszła w bliski kontakt z wyborem młodzieży z Królestwa i Litwy.

Były to czasy wykładów i wpływu Wincentego Lutosławskiego z jednej strony, — konspiracyjne rozwijania „Zetu” pod tajnym kierownictwem Zygmunta Balickiego z drugiej strony.

Żywa, nerwowa, ruchliwa i wnikliwa indywidualność Rogoszówny wchłaniała wszystkie wpływy, przejmowała się wszystkim bezpośrednio i gorąco, ale nie angażowała się nędzie czynnie i wyłącznie. Zajmowali ją zarówno przedstawiciele socjalistycznego stowarzyszenia młodzieży akademickiej „Ruchu”, jak i narodowo-demokratycznej „Młodości”. Nie miała w sobie żyłki polityczno-agitatorskiej i pociągały ją zawsze nie tyle teorie, ile ludzie, ich dusze i przeżycia. I w tem zaznaczył się już jej typ. Była przede wszystkim i zawsze czułą i delikatną kobietą, o duszy wrażliwej na każdy objaw piękna, dobra i prawdy, — miała czyste i gorące serce — i bezpośredni, nieomylny instynkt moralny.

W domu rodzinnym, gdzie obok niej kwitły niezwykłą urodą, wdziękiem i młodością trzy siostry, gromadziła się młodzież krakowska. Byli to artyści, rozwichrzeni dekadenci, poszukiwacze nowych dróg w sztuce i w życiu. I tym wpływom, częstokroć zawrotnym i niezdrowym Rogoszówna przeciwstawiała nieświadomie wrodzoną pogodę umysłu, prostotę i prawdość zdrowego instynktu. Współczująca i miękka, a mocna zarazem poczuciem odrębności swego „ja”, — ocierała się o rozmaite kierunki, nie ulegając im bezwolnie. Szukała własnej drogi wśród tych wszystkich ścieżek, które krzyżowały się wokoło niej.

I z pośród mnóstwa ludzi, poznanych naówczas, zbliżyła się do tych, którzy psychicznie odpowiadali jej najgłębiej. Z tego okresu datują się najtrwalsze jej stosunki osobiste, te które rozrosły się z czasem w przyjaźń i przywiązanie dozgonne.

Niestety, już w tym okresie budzenia się rozkwitu przychodzi pierwszy objaw gwałtownego chudnięcia, pierwszy objaw niestwierdzonej dotąd choroby płucnej.

Nie podejrzewając nic groźnego 21-letnia naówczas, pełna sił dziewczyna wyjeżdża z przyjaciółką na wakacje w Suwalszczyznę, w odwiedzinach do koleżanki z kursów Baranieckiego. Tu występuje długotrwały, zatrważający kaszel. Zaprowadzona w Warszawie przez przyjaciółkę do doktora Łaguckiego, — dowiaduje się o poważnym zagrożeniu płuc. Po powrocie do domu zostaje wysłana przez matkę do Gries i tu rozpoczyna się fatalne ogniwo życia sanatoryjnego, — złudne, chwilowe polepszenia, które są tylko podleczeniem, a nigdy wyleczeniem zupełnym.

Po spędzeniu jesieni 1903 i zimy 1904 r. w Gries wraca mocniejsza do kraju i z polecenia lekarzy dla utrwalenia zdobytego zdrowia spędza zimę 1905 r. w Zakopanem. Już na jesieni tegoż roku pozornie wyleczona przybywa do Warszawy w celu oddania się pracy pedagogicznej w szkolnictwie prywatnym. Pracuje w niedawno założonej, a wzorowej szkole 7-mio klasowej Jadwigi Kowalczykówny, jako wychowawczyni najmłodszych dzieci, — wstępniaczek.

Pełna werwy, uroku, oddania, — wesola, tańcząca, śpiewająca i goniąca się z dziatwą, — zyskuje jej serca odrazu. I tu po raz pierwszy wykreśla się jasno jej droga: Kocha dzieci, rozumie i chwyta najdrobniejsze drgnienia ich dusz — im odda życie. Równocześnie stwierdza dotkliwy brak odpowiednich książek dla wieku dziecięcego.

Jest córką powieściopisarza, budzi się w niej dziedziczny talent — i szkicuje pierwsze rozdziały. „Dziecinny Dwór”, — czyli wyczarowuje z przeszłości życie własnego dzieciństwa. Nie ma jeszcze formy, nie ma żadnego wzoru, — czuje tylko, że chce odtworzyć życie samo, tchnąć prawdę obserwacji i uczucia w ten przez się prześniony świat własnego dzieciństwa, gdzie sen i jawa nie mają określonej granicy. Świat dziecięcy woła ją do siebie, — jak woła istotne powołanie.

Ona, która wypowiada się z trudem w rozmowie, dla której teoretyczne ujęcie zagadnień życia wymaga męczącego wysiłku, tak, że sama niejednokrotnie zaznacza, że zrozumieć ją mogą tylko wybitnie wyrobione umysły, — stwierdza teraz, że myślenie obrazami idzie jej gładko, — że umie opowiadać barwnie i łatwo i że znajduje w pisaniu przyjemność tak wielką, że trudno jej oderwać się od pióra. Chcąc bawić innych, bawi się sama, przerywa każdą sytuację, i stąd ten bezpośredni, łatwy, nierobiony humor, który stanowić będzie znamienne i może najcenniejszą cechę jej talentu.

(c. d. n.)

I. M.

KLASYFIKACJA ZAWODÓW

Międzynarowe Biuro Pracy przy Lidze Narodów wydało niedawno książkę uczonego szwajcarskiego, dr. Ed. Claparède'a, profesora Uniwersytetu Genewskiego p. t. „L'orientation professionnelle”. Praca ta jest już przetłomaczona na język polski przez p. Marję Sokalową i ma ukazać się wkrótce p. t. „Poradnictwo zawodowe”.

Prof. Claparède, uznając wielką doniosłość badania uzdolnień zawodowych i dokonywania tą drogą selekcji zarówno przy podejmowaniu zawodów, jak i przy obsadzaniu warsztatów pracy, zajął się przedewszystkiem klasyfikacją uprawianych dotychczas fachów. Główne grupy według uczonego badacza stanowią:

I. Zawody, wymagające wykwalifikowania.

II. Zawody, niewymagające go.

Ta ostatnia grupa obejmuje: kolporterów, gońców, roznosicieli gazet, gdzie głównie należy liczyć się z właściwościami fizycznymi, jak siłą mięśni, zdrowiem sercem i płucami, wytrzymałością w odbywaniu pieszych kursów, żywością temperamentu, odpornością na zmiany temperatury.

Te zawody można doradzać jednostkom niezdolnym do nauki, a miłego usposobienia.

Do tej grupy należałoby zaliczyć wszelkiego rodzaju robotników bez określonego stałego zajęcia, a także handlarzy ulicznych, przekupniów i przekupki. Dla tej ostatniej kategorii wszakże — po za większym przygotowaniem z dziedziny rachunkowości — niezbędna jest pewna znajomość towaroznawstwa, ale — ponieważ przedmioty handlu w danym razie ograniczają się do paru, a najwyżej kilku zaledwie rodzajów, więc zarówno zbadanie rynków zbytu i zapotrzebowania, jak też i zapoznanie się z wartością towaru oraz ze źródłami zdobywania go nie przedstawia wielkich trudności *).

Grupa zawodów, które wymagają wykwalifikowania, obejmuje trzy działy:

Specjalne, średnie i wyższe.

Specjalne — ponieważ półautomatyczne — mają z kolei swoje pododdziały, zależnie od stopnia napięcia i rodzaju uwagi, jaka jest niezbędna przy wykonywaniu pracy, a więc:

a) Oparte na uwadze ciągłej, regularnej, zwróconej bezustannie na jeden i ten sam przedmiot, jak u górników, tkaczy, murarzy i drukarzy,

Tu można zaliczyć szwaczki, pracujące tylko w jednym zakresie, jak dziurkarki, rękawiarki i t. p., gdy już staniczarka, bluszczarka lub spódniczarka musi obejmować całokształt pracy, wymagającej szerszego ujęcia i bardziej rzutkiej uwagi. Przy obecnych modach, jednak specjalizacja w krawiectwie damskim jest co raz niemożliwsza. Suknie dzisiejsze wymagają ogarnięcia całości twórczym do pewnego stopnia i artystycznym porywem.

Ten dział może objąć również rękawiczniczki, cerowaczki — specjalistki (materjałów jedwabnych i wełnianych, koronek, firanek), hafciarki, kwaciarki, krawaciarki — z zastrzeżeniem, o ile przy trzech ostatnich zawodach pracownica naśladuje ściśle wzór podany, nie zaś tworzy go samodzielnie. To samo dotyczy modniarstwa, wyrobu piór, w mniejszym znacznie stopniu kamizelczarstwa, które jest obecnie prawie wyłącznie w rękach kobiecych, grawerstwa, zabawkarstwa i t. p.

b) Oparte na uwadze rozdzielnej, zwracanej równocześnie w paru lub kilku kierunkach, jak np. pilnowanie dwóch maszyn naraz, śledzenie kilku sygnałów, sortowanie próbek.

Pod tą kategorię można podciągnąć różne działy pracy kobiet, jak: kilimkarstwo, fryzjerstwo, zabiegi kosmetyczne, felczerstwo, pielęgniarstwo, fasownictwo, kucharstwo, haft kolorowy i t. d.

c) Oparte na uwadze rytmicznej, jak np. w tkactwie wszelkiego rodzaju, trykotarstwie, gdzie działanie maszyny z konieczności reguluje napięcie i opadanie uwagi co pewien czas w miarę przerw i regulowania warsztatu.

d) Oparte na uwadze ześrodkowanej, która jednak wymaga natężenia tylko w danej chwili, ale wówczas uż niezmierne silnego, nadwyraz skupionego, jak np. u hutnika w chwili spustu żelaza, gisera podczas odlewania formy w metalu, chemika przy badaniu reakcji.

e) Rozbieżnej, dajmy na to u portjera hotelowego, załatwiającego kilku interesantów naraz. Temu klucz od zajmowanego pokoju, od tamtego paczka i zawieszenie jej pod odnośnym numerem. Trzeciemu objaśnienie: z jakiego dworca przychodzi lub odchodzi dany pociąg, ile zapłacić dorożkarzowi, albo do jakiego wsiąść tramwaju?

Niezbędna tu jest pamięć i bystrość w przesuwaniu uwagi tak, jak motoru na skrętach bliskich sobie ulic, momentalnie, szybko, bez chwili wania.

Taką umiejętnie wyćwiczoną rozbieżność uwagi muszą posiadać kierowniczkę wielkich pensjonatów, dziewczęta, obsługujące gości, zmieniających

się z dnia na dzień, kelnerzy, kelnerki, sklepowe i sklepowi w wielkich zakładach, dozorczy dużych przedsiębiorstw przemysłowych.

Zawody *średnie* wymagają pewnej inteligencji, pewnej kombinacji uzdolnień psychicznych, ale ujętych w ściśle, z góry określone ramy i granice, jak: stenografia, telefonowanie, daktylografja, złotnictwo, gdzie praca nie wymaga twórczości.

Profesor genewski włącza tu: nauczanie gimnastyki, muzyki, języków.

Czy można się z nim zgodzić? Czyż te działy nie wymagają istotnie twórczego polotu, dużej refleksji i inteligencji? — Czyż nauczyciel lub nauczycielka muzyki, nie stosująca się do stopnia wrodzonej muzykalności ucznia lub dużych jej braków, nie wpadająca na pomysły różnych metod zależnie od stopnia biegłości, kształtu ręki, miękkiego lub kościstego jej ustroju, długich lub krótkich, sprężystych lub twardych palców — czyż taka nauczycielka mogłaby liczyć na rozgłos i uznanie w zakresie pracy swojej? Czy nauczyciel gimnastyki, zwłaszcza rytmicznej, może stanąć na martwym punkcie jednej rutyny dla wszystkich? — Czy przy nauczaniu języków, jak w każdej innej dziedzinie pedagogiki, nie powinno liczyć się z psychiką, pojętnością, pamięcią, temperamentem i naturalnymi darami ucznia lub brakiem ich zupełnym: tępotą, niedorozwinięciem?

Nauczycielstwo w żadnym zakresie nie może być podciągnięte pod szablon, pod rutynę, pod wymogi zegarowego automatyzmu. Pojęte w istocie najgłębszych zadań swoich, jest jedną z prac, wymagających wielkiego polotu, ogromnej inteligencji, wysokiej intuicji w chwytaniu i zastosowaniu się do psychiki dziecka, czy dorosłego ucznia.

Prof. Claparède przyznaje zresztą, że zawody powyższe nie zostały zbadane dotychczas jeszcze należycie, zająbiają się tu bowiem tak dalece wysiłki umysłowe z wysiłkiem fizycznym, wymogi pamięci z napięciem refleksji, tak niezbędna jest inteligencja dla przystosowywania się do pracy nad jednostką lub zbiorowością, że ściśle oznaczenie granic i skali jest niemal niemożliwe.

Do powyższego działu należałoby wliczyć również ochroniarstwo, froeblostwo i całą wogóle pracę w przedszkolu, czego profesor genewski nie bierze pod uwagę, a co stanowi ważną niezmierne i rozległą dziedzinę zawodów średnich.

Zawody *wyższe* wymagają inteligencji twórczej, zmysłu organizacyjnego, wynalazczego i sądu bystrego, któryby pozwolił odróżnić istotę rzeczy od przypadkowości, (inżynier, budowniczy, lekarz).

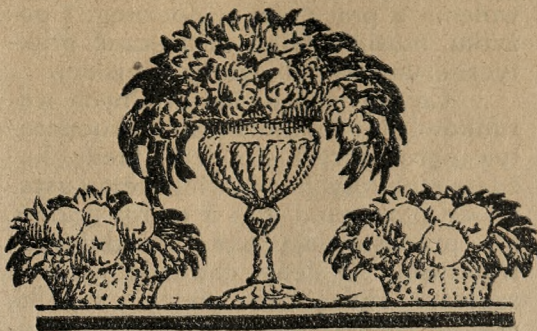
*) Przy klasyfikowaniu zawodów trzymamy się ściśle pracy Claparède'a, włączając jednak fache, nieobjęte przez niego. Wymienia on ich bardzo niewiele, a pracę zawodową kobiet pomija zupełnie, co bezwarunkowo wymaga uzupełnienia.

Pracę w tym kierunku dzieli prof. Claparède na: naukową, techniczną i organizacyjną, artystyczną.

O udziale w niej kobiet pomówimy, w jednym z dalszych numerów „Bluszczu”. Tu należy jeszcze tylko zwrócić uwagę na konieczność przy klasyfikacji odrębnych poddziałów dla jednostek, dotkniętych jakimś bądź kalectwem lub anormalnych, które trzeba wyłączyć od pewnych zajęć.

Fontègne, opierając się na pracach uczonej naszej, dr. Józefy Jotejkówny, proponuje oddzielną klasyfikację nawet dla mańkutów, którzy nie powinni być dopuszczani do ro-

bót bardzo ciężkich ze względu na to, iż praca lewą ręką jest mocno szkodliwa dla serca.



NIE WYZYSKANE BOGACTWA

(D o k o Ń c z e n i e)

Nauczyciele ludowi — ta wielka i dzielna armja pokojowa, na której barkach spoczywa bezpieczeństwo, dobro, szczęście — jednym słowem — przyszłość narodu w niemniejszym stopniu, niż na sile zbrojnej — muszą podjąć tę kampanję z zapalem i wiarą, że zwycięstwo na tym polu odniesione, wzmoże potęgę narodu równie silnie, jak zwycięstwa na polu bitwy.

Gdybym posiadała dar wymowy wielkich mistrzów...

Na usta cisną mi się słowa nieśmiertelnego wieszczka: „Gdybym był zdolny własne ognie przelać w piersi słuchaczy... Gdybym umiał strzelać grzmiącymi słowy do serca współbraci”...

Niemasz bowiem zwycięstwa bez zapalu! Ale zapal trzeba nie tylko raz wzbudzić — trzeba go ciągle pielęgnować.

Zakorzeniły się u nas bardzo głęboko takie zwroty, jak: „poświęcić się temu lub owemu zawodowi”. I nie jest to rzecz przypadku w narodzie, który wciągnął o ofierze, odkupieniu utraconej wolności, a z drugiej strony pod uciskiem niewoli pozbawiony był wszelkiej radości życia i pracy. Ale minęły już te czasy ciężkie! Dziś zamiast „poświęceń” musimy nauczyć się radosnego „oddania się” pracy.

Bo pamiętajmy — praca bez radości, jak roślina bez słońca, wydaje owoce tylko kwaśne i cierpkie.

Jakże smutne jest życie nauczyciela, który murem szkolnym odgradza się od wsi, a tem samem od tętniącego życia! Jakże nikłe być muszą rezultaty jego pracy! Trzeba „wejść w lud” t. zn. trzeba żyć z ludem, a żyć z nim można na polu najbardziej dla niego przystępnym, na polu pracy realnej i owocnej.

Trudno wymarzyć pole bardziej odpowiednie, niż ogrodnictwo. Jest to misja, która pozwoli nauczycielom nie tylko pomnożyć bogactwa

kraju i własną radość życia, ale zbliżyć ich do ludu i wpłynąć na podniesienie ogólnego poziomu kulturalnego i ekonomicznego narodu.

Ale zapal sam nie wystarczy. Nauczyciele muszą zdobyć w tym celu odpowiednią wiedzę i doświadczenie. St. Szczepanowski powiada: „Doświadczenie życiowe przede wszystkim potrzebne jest dla tych, którzy mają młodzież wychować — dla nauczycieli”.

A dalej: „Czyż po latach w seminarjum lub na fakultecie filozoficznym nie są niezbędne lata doświadczenia życiowego, zanim będziemy mieli mistrza w nauce życia, mistrza, który porwie i poprowadzi za sobą młodzież mu powierzona?”.

Poza nauką szkolną trzeba samemu zdobywać wiedzę praktyczną, doświadczenia życiowe, i to zarówno już w czasie studjów, jak tem bardziej później po ich ukończeniu. Nie zamykać się tylko w książkach, ale mieć oczy i uszy otwarte na wszystko, co się dookoła dzieje. Zbliżyć się i poznać szerokie warstwy społeczne narodu, ich życie i pracę, ich sposób myślenia, ich smutki i radości. Czyż bez poznania środowiska, bez życia się z niem nauczyciel jest w stanie zrozumieć młodzież z niem żyjącą? a nie rozumiejąc jej, czy może ją kształcić i wychowywać?

Jak dotychczas sprawy stoją, istnieje między szkołą a wsią bardzo głęboka przepaść — że użyję wulgarne określenia — nauczyciel jest jeszcze ciągle „panem”, a rodzice młodzieży wiejskiej, chłopami”.

Dystans ten utrzymuje się także między nauczycielem i dziećmi. Nauczyciel gardzi niekulturalnym chłopcem, a chłop w gruncie rzeczy gardzi mądrością papierową i brakiem życiowej zaradności nauczyciela. Czy w tym stanie rzeczy może być mowa o jakimkolwiek wpływie? Dopóki nauczyciele nie będą żyć w sąsiedzkiej przyjaźni z rodzicami swoich

Przy klasyfikacji muszą odgrywać również ważną rolę czynniki uczuciowe, właściwości charakteru i temperamentu. Inaczej pracuje flegmatyk i człowiek bardzo skupiony, zamknięty w sobie, rozważny, spokojny, a inaczej sangwinik — gwałtowny, zmienny, impulsywny, szybki, wrażliwy na działanie chwili, zachłanny i odruchowy.

Ideal bardzo ściśle, dokładnej, ogarniającej wszystkie dziedziny usposobienia i właściwości fizyczno-umysłowo-psychicznych człowieka oraz rodzaj, charakter i wymogi danego zawodu jest więc jeszcze daleką muzyką przyszłości.

C. Wal.

uczniów — ale nie tak z góry, laskawie i po pańsku, tylko jak równi z równymi, — dopóty nie spełnią swojej misji, nie podniosą poziomu kulturalnego naszego ludu.

Pozwolę sobie przytoczyć kilka przykładów z życia szwajcarskiego, które najlepiej zilustrują stosunki, panujące na zachodzie.

Najwymowniejszym wyrazem życia się szkoły z ludnością jest fakt, że wszędzie popisy szkolne są uważane za radosne, ogólne święto danej miejscowości. Rodzice i krewni odświętnie ubrani spieszą tłumnie na tę uroczystość. Po popisie w sposób prosty i szczerzy wyrażają swoje zdanie co do wyników i serdecznie dziękują nauczycielom. Przez kilka dni mówi się we wsi tylko o tem i młodzież czuje, że rezultaty jej pracy są ważne i obchodzą wszystkich.

Drugim objawem, mile uderzającym jest opieka, jaką ludność wszędzie otacza wycieczki szkolne: udzielają kwater, goszczą, oprowadzają, często nawet urządzają zabawy na ich przyjęcie. A wycieczki takie są tam na porządku dziennym, gdyż młodzież szwajcarska obowiązkowo zwiedza pod opieką nauczycieli kraj cały piechotą.

Co się tyczy stosunków prywatnych między ludnością a nauczycielami, to wszędzie konstatować można wzajemny szacunek, życzliwość, zaufanie, wspieranie się wzajemne radą i pomocą, czy to w sprawach gospodarskich, czy nawet rodzinnych.

Ale co mnie najwięcej zachwycało i co pozostaje w bezpośrednim związku z kwestją tu poruszoną — to były często spotykane przy szkołach kooperatywy ogrodnicze. Nauczyciele i uczniowie wspólnie uprawiają ogród. Prowadzona jest ewidencja włożonej pracy i włożonych kosztów. Dochodami dzielą się wszyscy w stosunku do udziału każdego. Jakże stąd płyną korzyści zarówno na-

tury materialnej jak i wychowawczej, nie wymaga chyba długich objaśnień: teoretyczna i praktyczna nauka ogrodnictwa, zasady kooperatywy i buchalterji, handlowość — i co najważniejsze — zamięłowanie i poszanowanie pracy swojej i cudzej. Można przejść całą Szwajcarję i wszędzie na wsi obserwować to samo zjawisko: przez płoty zwisają nisko zachwycające owoce i kwiaty, obok bawią się dzieci, przechodzą tysiące razy, a nigdy nikomu nie przyjdzie na myśl zerwać cokolwiek. Nie znają zupełnie tego barbarzyństwa, a zresztą i po co? Każdy ma swoje własne owoce i kwiaty!

Wspomnę na końcu o fakcie na pozór drobnym, na którego widok jednak ciągle ogarniało mnie wielkie rozczulenie. Oto wszędzie prawie spotyka się na wsi grupki dzieci, które zbierają nawóz, przez konie i bydło na drogach zostawiony. Jedne dzieci ciągną wózki, a inne z szufelkami i miotłami na wyścigi wydzierają sobie cenną zdobycz, bawiąc się przytem znakomicie. A jakie wszechstronne z tego korzyści! I ogród się użyźnia i ulice są ciągle czyste, a dzieci, spędzając czas na pożytecznej zabawie, uczą się praktyczności i porządku.

Wracam do kwestji kooperatywy ogrodniczych szkolnych, bo mam wrażenie, że to byłby najskuteczniejszy sposób propagowania ogrodnictwa w naszym kraju. Kto zna lud nasz i jego nieufność do rzeczy nowych, nie zdziwi się zapewne, że agitacja instruktorów ogrodniczych, którzy nie tylko ofiarowali wszelkie ułatwienia, ale nasiona i szczepy zadarmo — że ta agitacja nie wydała żadnych rezultatów. Trzeba, aby młodzież wiejska od dzieciństwa poznała i zrosła się z tą pracą. Trzeba tej pracy prze-

dewszyskiem nadać formę zupełnie realną, praktycznie pociągającą. Dotychczasowe bowiem próby — a było i jest ich dość dużo — owe śmieszne „półka” łokciowe, nie dające ani zadowolenia z pracy, ani widocznego pożytku, musiały tylko odstręczać praktyczne umysły młodzieży wiejskiej.

Co się tyczy materialnych warunków dla organizowania kooperatywy ogrodniczych, to dziś, kiedy każdemu nauczycielowi wiejskiemu ustawowo przyznano 2 — 3 morgi gruntu, nie przedstawiają one zasadniczych trudności. O ileby chodziło o teren szerszy, sądzę, że gminy, sejmiki, rząd, a nawet obszary dworskie przyszyłyby chętnie z pomocą. Taksamo znalazłyby się zapewne odpowiednie subwencje dla nabycia narzędzi, nasion, szczepów i t. p. Co się tyczy nauczycieli, to wyszliby na tem chyba o wiele lepiej; wiadomo bowiem, że dobra uprawa ogrodowizny przynosi znacznie większe dochody, niż uprawa zboża.

Chodziłoby teraz o rzecz najważniejszą: o odpowiednie przygotowanie nauczycieli, o wzbudzenie w nich zrozumienia ważności tej pracy i zapamiętanie, a wreszcie o danie im potrzebnej wiedzy.

W tym celu trzeba, aby seminarja nauczycielskie, które teoretycznie mają w planie naukę ogrodnictwa, plan ten naprawdę wykonywały. Ponadto powinno się poza programową nauką ogrodnictwa, objętą planem szkolnym, urządzać na kółkach samokształcenia młodzieży seminaryjnej odpowiednie odczyty i pogadanki — a wreszcie praktyczne zajęcia ogrodnicze w ciągu roku szkolnego, zwłaszcza zaś w czasie wakacji.

I znowu wraca mi pytanie z przed lat: jak sprawić, aby wszyscy „chcieli

chcieć”? Od czego zacząć? kogo poruszyć? Sądzę że jest obowiązkiem każdego dzielnego obywatela, który zrozumie i przejmie się tą ideą, wystąpić z inicjatywą w tym kierunku. W naszym Ministerstwie oświaty istnieje podobno, a w każdym razie istniał referat ogrodniczy, do którego miały należeć sprawy ogrodów szkolnych. Poza tem program seminarjum nauczycielskiego przewiduje w zasadzie naukę ogrodnictwa. Jeśli więc chodzi o t. zw. czynniki miarodajne, droga zasadniczo już jest ugotowana. Trzeba tylko sprawę tę ruszyć, odpowiednio spopularyzować i rozpowszechnić. Rozumie się, że jest rzeczą nieodzowną, aby grona nauczycielskie naszych seminarjów wzięły to w swoje ręce. Ani zasadniczych, ani formalnych trudności niema. A jeśli chodzi o trudy włożone, to naprawdę rzecz warta jest największych wysiłków.

Czy nie byłoby także pożądanem, aby Szan. Czytelniczki „Bluszczu” — zwłaszcza tak bardzo ruchliwe „Kola Polek”, „Kola Ziemianek” i t. d. w całej Polsce, we wszystkich miejscowościach, gdzie znajdują się seminarja nauczycielskie, zorganizowały wspólne zebrania z nauczycielami seminarjów i wystąpiły z inicjatywą w tym kierunku? Można by zawiązać wszędzie komitety opieki obywatelskiej, które z jednej strony ułatwiałoby wychowancom seminarjów odbywanie praktyki ogrodniczej, a z drugiej udzielały pomocy przy zakładaniu kooperatyw szkolnych, w zdobywaniu gruntu, subwencji i t. d.

Im prędzej się to stanie, tem lepiej. Zyska na tem nie tylko dobrobyt kraju, ale i sprawa wychowania i rozwoju kulturalnego naszego ludu.

K. S.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

Ś W I A T K O B I E C Y

(F e l i e t o n)

Poświęcenie mężczyzny bywa rzadsze, ale za to więcej wartkie i tem trudniejsze, że bardzo często dokonywane *na zimno*. Ale dlatego właśnie jest nieefektywne. Dlaczegoż poświęcenie kobiety więcej rzuca się nam w oczy i pozostawia nam wrażenie niebezbiornej wyższości? Poświęcenie kobiety od wieków opiewa zachwyt świata, spotyka je jednomyślny hołd. Bo u mężczyzny charakter poświęcenia „rozumowy” czyni go zimnym, odbiera mu tę irracjonalność, która jest cechą cudu. On, gdy ma uczynić ofiarę, to przedewszystkiem wyda masę pieniędzy! Gdy w porywie ukorzenia się, zechce obmyć komuś stopy, uczyni to sumiennie i starannie... Kobięcie prostych środków za mało! Ona będzie zrywać się do świtu i zbierać na to rosę z fijołków i konwalij... Jak Magdalena wyleje na stopy całą czarę drogocennych wonności. A obcierać? ach

naturalnie niczem innym tylko będzie obcierać włosami!... Mężczyzna może zmiatać prochy przed ukochaną — zmiatać je będzie bogdaj strusiami piórami przy kapeluszu.

Kobieta musi być wyemancypowaną nie dlatego, żeby mężczyzna był samolubem, despotą i brutalem — żeby małżeństwo było nieszczęściem — a dla tego, że mężczyzna *bywa* złym — małżeństwo *bywa* nieszczęściem. Nasz ideał układu społecznego jest taki, że nikt nie może znajdować się *w władzy drugiego*, bo *władca zawsze może stać się tyranem*. Taką jest ludzka natura. Tembardziej strzec musi niepodległości swojej *słabszy*.

— — — — —
Nie egoizmem i nie tyranją — ale czem mężczyzna grzeszy zawsze względem kobiety, to *pychą i lekceważeniem*.

U ludzi dobrych przybiera to łagodną formę wiekuistnego żartu i podkpiwania. — U złych obostrza się w olimpijską wzgardę — która przebija nawet przez słodczyce i uniżoność kochanka.

Nigdy mężczyzna nie będzie o niczem mówić z kobietą tak, jak się traktuje tą rzecz z kolegą, z kamratem klubowym, z bliskim krewniakiem — na jednym poziomie, równy z równym... tak jak nigdy nie będzie hrabia traktować, in petto, na równi z sobą tego dygnitarza, który zamłodu czyścił obuwie jego kuzynom...

Mężczyzna patrzy na kobietę, jak patrycjusz na najulubieńszego swego wyzwolenca. Przy całej serdeczności mówią jego dumne oczy:

„Zrobiłem cię wolnym — dopuszczam do poufałości ze sobą — ale ty, mój drogi, znasz przecie pomiędzy nami dystans!”...

Ciosy zadawane ambicji są najbardziej jątrzące się... Dlatego to kobieta ma taką niczem niezalagodzoną krwawiącą ranę, taki gryzący żal do mężczyzny. Mężczyzna nawet nie domyśla się tego!... Człowiek zawsze świadomy jest ran odebranych — o zadanych niema pojęcia. A kobieta urazy swoje z tej kategorii tai... kobieta nie jest nigdy z mężczyzną szczerą. — Mężczyzna nie zna jej... Oczywiście, nie dlatego, żeby poznać jej nie mógł. — Ten, który wyliczył orbity planet z dokładnością sekundową i wskazał na niebie miejsce gwiazd niewidzialnych, tem bardziej potrafiłby zaobserwować swoją najbliższą towarzyszkę. A zrobić tego nie raczy — przedmiot nie budzi w nim zainteresowania.

Tymczasem mężczyzna, jakto już pisałam, w świecie kobiecym, odgrywa rolę przeznaczenia, rozdającego losy. Ta, której ramię poda *mały człowieczek*, żeby była przemądrą i przedobrą, zostanie w nizinach życia, gdzie nie nastęrczy się jej nigdy czyn, proporcjonalny do jej potencji moralnych. Ta, której ramię poda *wielki mąż*, niech będzie *lala*, *zwierzętkiem*, lub *demonem*, wyjedzie jego windą na kopułę świata i na najwyższych jego sprawach położy rękę ku-

charki, może pocziwą, ale nieumiejętną, albo dłoń mądrej trucicielki... A położy ją dlatego, że *on* będzie, żyć w atmosferze jej sugestji, na ludy i ich sprawy patrzeć się jej oczami.

Dwunastoletniej córce mojej konserżki w Paryżu przepowiedziała kabalarka, że zostanie kiedyś prezydentową Francji. Była to dziewczyna przesłiczna, a cynizm jej rozbrajał... na co to dziecko nie patrzyło od kolebki?!... I cóż?... zostać prezydentową — niema w tem dla niej nic niemożliwego!... Winszuję Francji!

W ustroju arystokratycznym kobieta nie wznosiła się tak bez żadnych kwalifikowań! Jej krew, jej gniazdo musiało odpowiadać wysokością swoją jego urodzeniu, jego koligacjom, a to współznaczało pewne warunki duchowe i pewną wysokość wychowania, kultury i rasy.

Dziś dla kobiety, do zajęcia najwyższego miejsca na świecie, jest tylko jeden cenzus: podziałać na zmysły któremuś z wielkich. Nie bardzo przesadzę, utrzymując, że kobieta waloryzuje się wedle swojej „*żywej wagi*”. Ceni się w niej obok tego: schludność, łagodność, wierność (same zalety zwierząt domowych), czasem ogień i fantazję (jak u konia). Wyższości specy-

ficzne ludzkie, składające się na dodatnią, na wyższą *osobistość ludzką* są ignorowane, nie mają kursu na rynku zapotrzebowań, nie wpływają na wartość kobiety, czy są, czy ich niema.

Powiedzą mi może, że widzimy dzisiaj małżeństwa dobierające intelekt do intelektu: uprawiają bowiem jeden fach: medycynę, literaturę, malarstwo. Zawsze jest to organista ożeniony z tym, kto mu kalikuje... Kobieta zajmuje przy mężu skromne miejsce adeptki, wyznawczyni, uczenicy, propagatorki i interpretatorki jego metod, jego idei. Wtenczas on jej przypina najwyższe ordery. I jest dobrze. Ale nie może być naodwrot.

Mężczyzna, który musi uznać wyższość kobiety, przechodzi takie cierpienie, że w cierpieniu tem umiera jego dla niej miłość. Ukochany Kowalewskiej ucieka od niej, przeżywszy jej paryskie triumfy — pycha męska nie mogła ich strawić.

Wysoka inteligencja, zwłaszcza twórcza, jest w człowieku powabem, który z niczem porównać się nie da!

Wysokie gatunki mężczyzn i kobiet rzucają na siebie wzajemnie czar, o którym nie mają pojęcia ludzie pospolicni... Sympatje wzbudzają dynamitowe — ale nie przeżywające pierwszej próby: oko w oko. (c. d. n.)

2)

P O W R Ó T

Z jaką rozkoszą zdusiłbym to całe stado mam, ojców ciotek, pociotków, swach i swatów. Z jaką rozkoszą deptałbym te rozsadniki „ciepełka” rodzinnego. Po co wy na mnie włazicie, czego Igniecie do mnie, jak muchy? Czyż jestem wysmarowany miodem? Proście mię na obiady? Jesteście głupi: Dzisiaj już się nie łapie na pomidorową zupę z kaszką i plumpudingiem własnego pomysłu. Ach! ta mama, której dusza ulgnęła dawno we francuskim cieście codziennych zabiegów około rodzinnego trawienia, ten papa, któremu już zdala przeczytać można na czole „Ja jestem honorowym człowiekiem, może tam kto inny — hm, tego... ala ja to nie”. — ten papa, obwożący się ze swoją uczciwością po wszystkich rynkach Europy, jak niemiec z pudlem...

Patrzcie, oto obiekt, który nigdy nie był dotknięty chorobą woli, nigdy nie cierpiał na nostalgję ideału... Porządny człowiek. Porządni ludzie. Co oni zrobili z duszą tego biednego dziecka? co oni z nią zrobili! I ta garsteczka piany, to niemowlę myśli chciałoby mi być zorzą poranku? Beatrixą, poetyczną Egerją z angielskiego romansu?

Jurek potrzebuje zrozumienia, Jurek nie może żyć bez duszy bratniej... Zostawcie Jurka, on jest dziś jakiś nieswój...

— Nieswój? Kiedy skupiam się w sobie z rozkoszą sfinksa, kiedy

ściągam wszystkie nici i łańcuch żywota i miotam na wnętrzu, to ja jestem nieswój? Kiedy serce podrywa się we mnie ptakiem, kiedy duch dźwiga się we mnie, jak lew i przerasta mi barki, to ja jestem nieswój?.

Ech, Lenka, szkoda ciebie. Bierz sobie jakiego fajansowego jegomościa. Ze mną nie wyżyjesz. Skruszyłbym cię w palcach i tyle. Za kamiennym dla ciebie i za ubogi. Gdybym był królem, kazałbym odlać twoją figurkę w porcelanie i postawiłbym ją na serwantce w sali, którąbym nazwał Jagnięcą. W tej sali przyjmowałbym matrony i przekupki. Mówię poważnie. Dlaczegożbym nie miał mówić poważnie? Wszak przeciwieństwa zlewają się z sobą, jak niebo, które zstępuje do otchłani, jak otchłań, co tyka się nieba. (we dwie godziny później).

Oczy me toną w powodzi błękitnych światel, pełzających po dnie mojej duszy. Łudzę się, że znalazłem wszystko, co jest moje w głębinach zaświata. Jutro wracam. To słowo ma w sobie coś z trąbki myśliwskiej i z echa gór. Słucham go i wszystkie żyły drgają we mnie pośpiechem. Patrzą na ohydne wieżyczki kasyna i usmiecham się. Wydają mi się dzisiaj ładnymi, gotówem je nawet kochać z radości, że ich już nie zobaczę. Przypominam sobie z okrutną rozkoszą wszystkie miejsca, które tu dep-

tałem, od których odszedłem, nie zostawiając im nic prócz wzgardy dla nich i dla siebie.

Nie zobaczę ich już nigdy, nie załzęknę za liściem, za światłem na murze, za świstem wichru po łamanym lasach, za mową obcą... Nie wezmę grudki ziemi, ni pyłu z odzieży. Pójdę. Nie będę nigdy już całował rączek alabastrowych mojej porcelanowej panielki, najporcelanowszej ze wszystkich porcelanek. Nie dotknę się już nigdy rzeźnickich łap „inteligentnego papy”, nie będę nigdy podziwiał jego autentycznych cygar i przemycanej mądrości. Pójdę.

Evoo. Taki ogromny przyplływ powietrza i mocy! Pędzić gdzieś, brać w ramiona lasy pojeziorne, turnie nad lasami, wichry zaszalale we mgłach, dusze, co przeglądają się w lasach, turniach i obłokach. Lecieć z zapartą piersią ku wargom rozchylonym, ku oczom wabnym i niepojętym, jak śmierć.

Wyrwać dęby, walić przełęcz skalne, deptać wichry, rozdzierać łona chmur, pluć w oczy gwiazdom i wspomnieniom. Spełniałbym ten prosty czyn fizycznego wysiłku i przemocy z rozkoszą, bo to byłby mój akt zadośćuczynienia i skruchy za wszystkie czyny płaskie, słowa według szablonu, myśli powszednie i aż nieczne w swojej pospolitości i ohydzie. Ha. Jutro wracam.

(c. d. n.)

Stefania Podhorska-Okolów.

D R O G A M I D U S Z Y

(o w i e ś c i)

ROZDZIAŁ I

PO KLĘSCIE

Było to pod jesień 1865 r.

Błade słońce spływało z wolna ku zachodowi, zlocąc pozęte dalekie niwy... mgła świetlista owiała pola, zarośla, dalekie lasy. Wszędzie pełno było światła, tylko od dwu starych pochylonych krzyżów czarne, wąskie przedłużone cienie padały na wzgórek.

Tętent kopyt końskich zmącił nagle ciszę i na wzgórkach nieopodal krzyżów ukazały się dwie postacie konne: kobieta w czarnej długiej amazońce i mężczyzna w mundurze oficera rosyjskiego.

Oboje jednocześnie wstrzymali konie... słońce sypnęło na nich złotem promieni i oboje młodzi, piękni, obłani blaskiem, stali, poglądając na rozciągniętą u ich stóp równinę bezbrzeżną... cichą...

„Moje posągi dwa od słońca złote” — śpiewał niegdyś poeta... ale to nie o nich, to w inne było czasy...

— Regardez cette plaine lointaine! — rzekła kobieta — c'est melancolique, mais c'est beau...

Nie odpowiedział wprost, lecz spoglądając z upodobaniem na jej szyję, po której wiły się jasne pasma włosów, mówił głosem przytłumionym, miękkiem:

— Le soleil dore vos cheveux d'or... c'est melancolique, mais c'est beau!...

Na bladą jej twarz wystąpił słaby rumieniec, uśmiechnęła się lekko.

— Niech pan patrzy, teraz słońce nie złoci już, ale czerwieni wszystko, jakby krwią.

Istotnie, kłoniąc się coraz bardziej ku zachodowi, słońce wielką luną purpurową załaziło świat.

Kobieta patrzyła wciąż na zrumienione ścierniska i pomyślała, że wyglądają tak, jakby u każdego żdźbła zawisła kropelka krwi, i wzdrygnęła się nerwowo.

Towarzysz jej dostrzegł to, zrozumiał i roześmiał się głośno, pokazując dwa szeregi mocnych, spiczastych zębów.

— Tak. To tutaj... to samo pole!... Ale czemu się pani wstrząsa? Pani — Polka! No, Polki lubią krew, bitwy, powstania...

Mówił po polsku z lekkim akcentem rosyjskim.

— O, niech pan tego nie mówi! Ne soyez pas cruel! Rentrons! — dodała po chwili — j'ai froid. Ruszyli i pojechali z wolna drogą wśród pól.

— A pan Sokołowski — w domu?

— Tak, ale jutro wyjedzie w wiadomym panu interesie. Czy pan... czy...

— Niech pani będzie spokojna! ja raport wysłałem przychylny. To

drobnostka! Ale ja chciałbym pomóc o innej ważniejszej sprawie. Czy pani pozwoli złożyć sobie wizytę w tych dniach?

— Ależ, proszę pana! Vous êtes toujours le bien venu. Mąż mój tak ceni pana. Tak cieszymy się pańskim towarzystwem! — mówiła prędko z pomieszaniem widocznie na twarzy i w głosie.

Ruszyli galopem, skręcając w grabową aleję, wiodącą do dworu, ukrytego wśród bzów i akacji.

Za nimi we mgłach konała ognista kula słoneczna; z łąk, z moczarów, z bagien wstawał opar czerwony.

I przyszła noc cicha, bez romantycznych pieni słowicznych, bez chórów żab, bez rozlanej w powietrzu woni, chłodna noc jesienna, wyiskrzona gwiazdami i mrokiem cienistym, okryła ziemię, ziemię tak spokojną, milczącą, jak gdyby świeżo nie opłynęła krwią rubinową swych dzieci, jak gdyby w łonie swem nie kryła ciał młodzieńczych, skłótych ostrzami bagnatów, zszarpanych razami nahajek, zsiniałych w śmiertelnym stryczków uścisku! Nawet mogiły ich były ciche. Krew, która tym razem wsiąkała w ziemię, nie wołała głośno o pomstę, nie buchała skargą, ni kłatwą. Umarli smętnym korowodem nie sunęli po polach ojczystych, nie sączyli przerażeń w dusze żywych, nie budzili zamaryłych ech.

Spali cicho, kołysani monotonnym dzwonieniem świerszczów, spali głębokim nieprzespanym snem.

W domu Sokołowskich, właścicieli Gostkowa, wojenny „Naczelnik uczastka“, porucznik ułanów gwardji, Iwan Siergiejewicz Gołobow bywał gościem częstym, coraz częstszym, w końcu stał się prawie codziennym. Sokołowskiemu służył radą i pomocą w niezliczonych kłopotach, które w tym czasie uciskały barki każdego szlachcica, z panią czytywał romanse francuskie, opowiadał jej śliskie anegdoty petersburskie, z nieukrywanem pożądaniem patrząc przytem na jej cerę liljowej białości, włosy złote i czarne, długie, jedwabistemi rzęsami przysłonione oczy.

W okolicy zazdrozczono Sokołowskiemu tego stosunku. Przystojny gwardzista był nie tylko panem wszechwładnym maleńkiej swojej satrapii, ale spokrewniony przez matkę swoją z arystokracją rosyjską, miał duże wpływy w wysokich sferach biurokracji petersburskiej. Technicznie się wyrażając: mógł uszyć buty, komu chciał. To też cenili go wysoko kacykowie miejscowi.

Oczywiście tylko dzięki jemu wychodził Sokołowski dotychczas obronną ręką ze wszystkich zatargów z władzami miejscowymi; doznawał mniej szykan, mniej prześladowań, niż naj-

bliżsi jego sąsiedzi, choć byli również Bogu ducha winni, również z wszelkich rewolucyjnych dumań i zamierzeń do cna wyprani, wybieleni, jak on.

Od paru dni jednak chmury jakieś zawisły nad Gostkowem. Zapowiedziawszy wizytę swą, Gołobow zjawił się był na krótko; zamyślony, chmurny, trochę urzędowy, dał do zrozumienia, że rewizja, której dotąd uniknęli mieszkańcy Gostkowa, może być teraz przez władzę wyższą nakazana. Zaznaczył, z wymownem na panią spojrzeniem, jak wielką byłoby to dla niego przykrością. Wspomniał o ważnych i niepokojących mocno zeznaniach pewnego włościanina. Dodał, że on, Gołobow nie zwykł opuszczać przyjaciół w niebezpieczeństwie, że w każdym wypadku rachować mogą na niego... o ile to naturalnie będzie w jego siłach... w sferze jego wpływów... i t. d.

Rzuciwszy tak pełną garścią ziarna niepokoju i obaw niejasnych, odjechał. Przez parę dni widać go nie było. Pani Ewelina w różowym negligu z książką w ręku oczekiwała daremnie w ulubionej altanie na przybycie zwykłego gościa. Sokołowski, dręczony złemi przeczuciami, pochylił olbrzymią swoją postać ku ziemi, jakby obliczał i przypominał dawne swoje grzechy powstańcze. A było tego sporo! Któż nie grzeszył w owym roku 63-cim? Najtchórzliwszych nawet czerwony upiór powstania chwycił w swe szpony i wiódł tam, gdzieby ich nie zaprowadziły nigdy najdziksze, gorączkowe sny własne. Sokołowski chodził, myślał, przypominał i od czasu do czasu gad zimny, dreszcz strachu ześlizgiwał mu się po krzyżu.

Czwartego dnia po południu zajeżdżała przed dwór bryczka, pełna urzędowych figur. Towarzyszyło jej kilku konnych żandarmów... Weszli do kancelarii... brzęk ostróg... dźwięki rosyjskiej mowy... a w całym dworze cisza... cisza...

Po pięciu minutach rozmowy z nimi Sokołowski wpadł do pokoju żony: ani kropli krwi nie miał w twarzy, wargi dygotały mu, jak w febrze.

Nie wiedziała dotąd o niczem. Chciała zapytać, co się stało, — ale i jej zbrakło głosu i stała przed nim niema, z szeroko otwartych oczu jego czytając wieści okropne.

Wreszcie Sokołowski przemówił; ale był to bełkot niewyraźny; język wił się w jego ustach, formując dźwięki bez znaczenia.

— Co? Co? — pytała blada kobieta.

Odpowiedział jej szeptem tak cichym, że go dosłyszeć nie mogła.

— Mówże nareszcie, co się stało?!...

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

Teraz chciała już tylko jechać, jechać jaknajprędzej. Nie miała wcale pieniędzy. Rodzina nie chciała jej dopomagać do szalonego planu, a krewnym męża nie chciała się przyznawać, że ojciec zostawia ją bez grosza. Sprzedała brylanty, jedyną swoją osobistą własność, za to kupiła krytą kибitkę i popłaciła drobne długi męża. Spakowała się w jednej chwili. Nie wiele tego było: trzy suknie i trochę bielizny, zaszyła w suknię małą sumkę, otrzymaną w końcu od teściowej, która wystarczyła na opłacenie koni do Irkucka. Jechała na Sybir, w najszerszą porę, a nikt nie spytał się, czy ma futro? Nie miała go. Wzięła na siebie watowaną salopę.

Zostało jej tylko pożegnać się z dzieckiem.

Nikolinka bawił się wielką pieczęcią listu cara Mikołaja. Podobał mu się czerwony lak pieczęci. Nie wiedziało biedactwo, że list ten czynił go sierotą zupełnym, pozwalając matce wyjechać i opuścić go. Bawił się długo, uśmiechał i gaworzył. Usnął wreszcie zaróżowiony, śliczny, ciężko było się oderwać od tej kołyski biednej matce. Długo modliła na kolanach, wreszcie, nie budząc go, odeszła. Maleństwo zostało pod opiekę babki Wołkońskiej i bratowych. Staruszka przywiązała się do niego o ile ta „dama dworu“ mogła się do kogo przywiązać. Tkliwszą opieką otaczał Nikolińkę cały sztab „nianiuszek“ ukraińskich, z Bołtyszek jeszcze przywiezionych, ze starą Agrafięną, nianką niedgdyś ks. Marji, na czele.

I tak w ciągu jednego dnia rozstrzygnął się los ks. Wołkońskiej. 21-go grudnia otrzymała pozwolenie cara, 22-go o świcie wyjechała. Ojciec, ochłoniwszy z pasji, pożegnał ją i pobłogosławił, ale milcząc i odwracając oczy. „Wmówiły w nią „Wołkońskie baby“, że jest heroiną i ot, pojechała głupiutka „kak duroczka“, sarknie stary wojak, choć, w głębi serca, musiał pomyśleć o tej nieugiętej córce: moja krew!

W Moskwie, gdzie zatrzymała się na 2 dni wytchnięcia i zobaczenia się z rodzinami innych zesłańców, znalazła biedna podróżnica to, czego jej nie dała najbliższa rodzina: ciepłe, serdeczne pożegnanie. Bratowa męża, a więc krwią obca zgoła i dotąd jej nieznaną, czarująca i świetna Zenejda Wołkońska przyjęła panią Marję z najtkliwszym współczuciem. Wiedziała, czem nakarmić i napoić na drogę tę znękaną duszę, wiedziała, jak bardzo młoda kobieta kochała śpiew i muzykę. Sprosiła wszystkich śpiewaków artystycznego światka, wśród którego królowała tu, jak potem w Rzymie. Niezapomniany pozostał w pamięci uczestników ten świetny, manifestacyjny wieczór. Ta jednak, na

której cześć był dany, była prawie niewidzialna. Nie chciała smutku swego na pokaz wystawiać, ani zbierać pochwał za swoje męstwo. Poeta Wieniegitow zostawił wzruszający opis księżnej, siedzącej cichutko w przyległym pokoju i słuchającej z nienasyconą, bolesną rozkoszą, cudnego, włoskiego śpiewu. Tylko, gdy zaśpiewano duet z „Agnieszki“—Paesiella, w którym nieszczęśliwa córka błaga o przebaczenie nieszczęśliwszego od niej ojca, analogia położenia odjęła głos śpiewaczce, którą była sama ks. Zenejda, a Marja wybuchła głośnym łkaniem i uciekła z pokoju. „Kiedy przeważna część gości rozjechała się po północy, ks. Wołkońska weszła nieśmiało do salonu i usiadła w kącie, mówiąc bardzo niewiele, lecz każde jej słowo podobne było do niej, harmonizowało z wyrazem jej twarzy. Nie płakała, nie szlochała, przeciwnie, starała się odwrócić od siebie uwagę...—Między gośćmi, którzy patrzyli na nią z wzruszeniem był Puszkina, chyba najbardziej przejęty widokiem tej, po cichu ubóstwianej, towarzyski młodości, niedawno młodej dziewczynki, „biegnącej po lekcji z pieśnią w sad“, dziś tak zmienionej, tak wysoko wyrosłej, tak bardzo się oddalającej. Puszkina, niedawno jeszcze rewolucyjny poeta, o spisek Dekabrystów otarł się tak blisko, że sam nie mógł wyjść ze zdumienia, jakim cudem wyszedł cało? Zawdzięczał to swej reputacji lekkoducha, która wstrzymała związkowych od przypuszczenia go do tajemnicy. „Nie byłem godzien tej cześci“, powie z gorącością żonie zesłańca, Murawiewowej. Poeta, jak ów Arjon z jego poezji, ocalały po rozbiciu łodzi, grzał już suknie swoje na słońcu—och, jak niezdrowem!—łaski carskiej i staczał się szybko po pochyłej drodze serwilizmu, ale dziwna dwoistość jego duszy objawiła się jaskrawo w gorącym, bolesnym hołdzie dla zatraconych i niby wyklętych towarzyszy młodości. Między papierami poety znaleziono rysunek z pięciu szubienicami dekabrystów i podpisem: „I ja bym mógł także...“

Czy w tym okrzyku była zgroza, czy zazdrość?

Może jedno i drugie.

Cały, niedościgły ideał jego życia, streścił się dla poety w postaci tak odmiennej od niego, tyle męźniejszej kobiety, będącej umiłowaniem jego młodości:

Dzisiaj posępna twa pustynia;
Ostatnie twych pożegnań słowa:
To cały skarb mój i świątynia!

Bezimienna dedykacja do Połtawy
w rękopisie wyraźniejsza jeszcze:

Sybirską twą pustynią...

Na ręce księżnej chciał Puszkina przesłać swój znany wiersz: „Do Dekabrystów“—piękny, choć nieco oględną pociechę:

Miłość i przyjaźń do was dotrą
Mimo ciemności i zawory
Tak jak w katorżne wasze nory
Dociera mój swobodny głos...

Nie był już zbyt swobodny głos poety, któremu sam cesarz zaczął być cenzorem. Swobodniej brzmiał więzienny odzew Odojewskiego:

Ty o nas, bardziej, bądź spokojny,
Z swojego losu myśmy dumni
I z za wrzeczydów naszej turmy
My, w duszy, z carów śmiejem się.

Ten wiersz przyniósł Puszkina raniem dnia następnego, ale pani Marja już wyjechała o 4-ej z rana, a wiersz zabrała Aleksandra Murawiewowa.

Przyjechała do niej jeszcze siostra, zameżna, Orłowa, która przeraziła się jej lekkim ubraniem i, zdjąwszy z siebie futrzany płaszcz, zarzuciła go na jej ramiona. Po za tem zaopatrzyła ją w książki, włóczki i rysunki. Krewni zesłańców dali tyle przesyłek, że księżna musiała wziąć drugą kибitkę. Zgodziła też pokojówkę, z której jednak mało miała pociechy. Najmilszą niespodziankę zrobiła jej dobra Zenejda. Oto kazała przywiązać do kибitki fortepian. Wprawdzie był to mały klawikordzik o czterech oktawach, na którym raczej brząkać jak grać można było, ale jakaż była radość podróżnej, gdy go w Irkucku spostrzegła i ileż pociechy przyniósł on jej w nieskończone sybirskie wieczory.

W pismach ks. Zenejdy, wydanych po francusku, pozostało piękne wspomnienie o bratowej:

— „O ty, któraś przyszła, aby odpocząć w moim domu! Ty, którą trzy dni tylko znałam, a nazwałam przyjaciółką! Obraz twój pozostał w mojej duszy. Czy moje widzą cię jeszcze. Twoja wysmukła postać wstaje przedemną jak wzniosła myśl, a twoje wdzięczne ruchy, jakgdyby zlewały się z tą melodią, którą starożytni przypisywali gwiazdom niebieskim. Masz oczy, włosy i cerę Dziewicy Gangesu i los twój podobnie naznaczony stygmatem obowiązku i ofiary. Tyś młoda... a przecież w życiu twojem przeszłość oderwała się już od przyszłości; twój jasny dzień przeminął, a ciemna noc nie po cichym nastąpiła wieczorze. Przyszła ona, jak zima naszej Północy i ziemia gorąca jeszcze okryła się śniegiem... Dawniej mówiłaś domnie: „głos mój był dźwięczny, ale straciłam go przez cierpienia“. A jed-

nak ja słyszałam twoją pieśń i ona jeszcze dźwięczy i nigdy nie umilknie: wszak twoje słowa, twoja młodość, twoje spojrzenie, wszystko to dźwięczy muzyką, która trwać będzie i w przyszłości. O, jak tyś nas słuchała, gdyśmy ci śpiewali... „Jeszcze, jeszcze! — powtarzałaś — jeszcze! Wszak ja nigdy już nie usłyszę muzyki...” Ale teraz ty prosisz, abym ci oddała twą

lirę: przytulże ją do twego rozdartego serca, uderz po jej strunach, a niech ci każdy dźwięk i każdy akord zadzwoni, jak głos przyjaciela. Otocz się harmonją, oddychaj nią i śpiewaj, śpiewaj zawsze. Czyż życie twoje, to nie hymn?”



Tak pisała jedna o drugiej. I słowa te stawiają nam przed oczy nie tylko śliczny obraz dwóch niezwykle kobiecych postaci, ale — jak mówi Sergiusz Wołkoński: jakież to — w miniaturowym obrazie kultury współczesnej, tkwiącej korzeniami jeszcze w klasycyzmie, a drgającej już pod koniec najsilniejszym naprężeniem romantyzmu!

(c. d. n.) *Karolina Bielańska.*

2)

NOWY PRZEKŁAD „BOSKIEJ KOMEDJI“

(D o k o Ń c z e n i e)

Zagranicą, gdziekolwiek na zachodzie, wyrobienie kulturalne poddyktowałoby zarządowi zagajenie oświadczenia przez kogoś z zarządu oraz wyrażenie podziękowania osobie, która odczyt ofiarowuje. Jeśli zaś tego nie uczyniłoby się na wstępie, to uczyniłoby się to po skończonym odczycie. Są to sposoby używane, znane i uznane na całym świecie, być może formalistyczne i zdawkowe, niemniej jako oznaka kultury konieczne.

Tu nie stało się nic podobnego. Nikt nie poczuł się w obowiązku otwarcia zebrania, nikt nie uznał za stosowne powiedzieć słowa podziękowania, czy też wyrażenia jakiegoś sądu lub zdania o czytanej rzeczy.

Głuche milczenie, żadnego zareagowania. Okazało się, że prezes T-wa był nieobecny, że vice-prezes był nieobecny. Niechby odczyt był niezajmujący, a przekład bezwartościowy, nieudany (a takim był bez wątpienia w apriorycznym mniemaniu niektórych apriorycznie lekceważących traktujących pracę kobiecą i sądujących, że porwać się na przekład Danta po „znakomitym” przekładzie prof. Porębowicza, jest conajmniej dowodem wielkiej śmiałości, a ta zawsze wzbudza nieufność) choćby nim był istotnie, niemniej elementarne sposoby kulturalne obowiązywałyby. W miastach zachodu, każdy subiekt sklepowy obowiązkowo dziękuje każdej wychodzącej ze sklepu osobie z równą uprzejmością tej, która duże zakupy porobiła, jak i tej, która nic nie kupiła.

Ale wróćmy do przekładu. Wiem, że wśród najbardziej wykształconych osób u nas jest znikoma ilość takich, które mogą czytać „Boską Komedję” Danta w oryginale. Osobiście zdarzyło mi się spotkać tylko trzy takie osoby. Ażeby więc przekonać kogokolwiek, że przekład nie jest bezwartościowy, zły i nieudany, nie mogę odwoływać się do sądu szerszego ogółu przez zestawienie go z oryginałem. Czynię to sama dla siebie tylko i na tem opieram moje o nim przekonanie. Aby zaś umożliwić ocenę tym, którzy mogą poznać poemat tylko z przekładu, podaję tu kilka wyjątków z tegoż. Łatwą będzie rzeczą dla każdego, kto zechce to zrobić, porównać je z odnośnymi ustępami przekładu prof. Porębowicza i — wybór między niemi uczynić. To, wraz z bezpośrednim wrażeniem, za-

czepniętem słuchem i intelektem, wystarczyć musi, aby ocena stała się w przybliżeniu trafną.

Oto naprzód wyjątek z piątej pieśni „Piekle”, najdramatyczniejszej części nieśmiertelnego poematu, rozbrzmiewającej najmocniejszymi, najbardziej napiętymi tonami grozy, jakie zna literatura świata.

Dante wprowadzony zostaje przez mistrza Wergilego w drugi krąg piekieł, kędy cierpią męki dusze potępionych za rozpustę i za uległość żądzom zmysłowym i kędy srogi Minos broni wstępu:

...Teraz dopiero o słuch mój uderzy
skargi żalostnej nuta zawodząca,
która jęklanych kwileń echo szerzy

W ciemności, której blask żaden nie trąca,
ryk usłyszałem, jako morskiej burzy,
gdy rzesza wiatrów zewrze się walcząca

Wicher piekielny, który się nie znuży.
duszę tam wodzi zdaleka i zbliska
i nie masz końca smętnej ich podróży,

Kiedy zaś przyjdą ponad brzeg urwiska,
tak im wzbierają nagle w sercu bole,
iż każda przekleństw grady w przepaść ciska.

Pojałem snadnie, iż w tem wichru kole
dręczą się one potępieńców stada,
co zmysłów żądzom uczyniły wolę.

I jako szpaków wędrownych gromada,
kiedy od chłodu skrzydła im pomdleją,
to tu, to ówdzie z powietrza opada,

tak ona rzesza miotana zawieją
tam i sam błędnie krok niepewny stawi
niepokrzepiona najlżejszą nadzieją.

A jak po niebie lecąc, klucz żórawi
klangor smętny głosem swym zawodzi,
tak we mgle nocnej oczom mym się jawi

rój dusz płaczących, i zwolna przechodzi.
Więc pytam: „Mistrzu, kto jest rzesza ona,
„którą tak sroga nawałnica wodzi?”

Wergili odpowiada poecie, który słucha objaśnień mistrza, wskazującego mu rozgłosne złą sławą grzesznice świata i równych im grzeszników. Wylczenia te pomijam. Oto dalszy ustęp, w którym poeta zauważa dwa duchy splecione z sobą, szybciej niż inne miotane wichrem. Wzywa je ku sobie zaklęciem miłości i wysłuchuje dziejów miłości Franczeski z Rimini i Paola Malateska miłości, która sprowadziła

tragiczną śmierć obojga z ręki zdradzonego męża Franczeski.

...Wtem rzekę: „Mistrzu, pragnąłbym
[tych dwoje
„przywołać do nas, co tam lecają społem,
„miotani burzą, jak drżące powoje”,

On na to:—„Czekaj aż je wicher kołem
„przyniesie tutaj, i w imię miłości
„zawezwij głośno”—Kiedy je zakląłem

takimi słowy,—jako z wysokości
para gołębi tęsknotą zwabiona
do gniazda lot swój kieruje najprościej,

tak one, z rzeszy, kędy jest Dydona,
przez onych ciemnych mgieł leciały krosna,
taki potężny był krzyk z mego łona!

„O, ty istota dobra i litosna;
„którą wędrujesz przez tych głębin ciemniel
„My, których zmaza pokalała sprosna,

„iż tu się tułać musimy nikczemnie,
„nie mogę nawet przed wieczności trony
„modłów za ciebie zanosić wzajemnie.

„Lecz skoro pytasz, bogdaj prośbie onej
„pragniem uczynić zadość słowem jakim,
„póki się wicher uciszył szalony.

„Ojczyzna moja leży ponad szlakiem
„tej lazuruwej fali, kędy wpada
„Po w mórz głębiny, z wód swoich orszakiem.

„Miłość, co chętnie nad sercami włada
„onym owładła przepięknei urody,
„co w moich oczach przebiła go szpada.

„Miłość, co duszy nie przepuści młodej,
„tak mnie ku niemu skłoniła gorąca,
„iż jako widzisz przyszłam nad te wody.

„Miłość nas wiodła do wspólnego końca
„Ten, co nas zgładził, jęczy w zdrajców kole.
Taka żalostnych słów osnowa drżąca

płynęła ku mnie przez powietrzne pole,
aż pochyliłem czoło, i w zadumie
bolesnej tonę. „Strząśnij z serca bóle!”

rzecze mistrz, który tak pocieszać umie,
iż słowa jego są, jak nuty śpiewne.

„Niestety”—rzekę, i westchnienie stłumię

„ileż gorących pragnień, jakie rzewne
„myśli musiały prowadzić tych dwoje,
„nim na te ścieżki wwiodły ich niepewnel...

„Franczesko—mówię potem—męki twoje
„lży wyciskają z oczu mych serdeczne,
„lecz powiedz, kiedy wam się niepokoję

„słodkie miłości stały niebezpieczne,
„wyznać zmuszając, co się w sercu mieści,
„aż smutki na was sprowadziły wieczne?

„Ona zaś na to: „O, niemasz boleści
„gorszej, niżeli w godzinach niedoli
„wspominać chwile szczęścia!... Lecz gdyś
[treści

„mych losów ciekaw, uczynię ci kwoli,
„choć mowa będzie zmieszana ze łzami.
„Raześmy księgę o miłosnej doli

„czytali cnego Lancelota. Sami
„byliśmy, ani się obawą żadną
„dusza nie zmaci, a jeno chwilami

„zamiast na karty, oczy nasze padną
„wzajem na siebie, i zbladną jagody.
„Jedna się chwila stała dla nas zdradną:

„Gdyśmy czytali, jako rycerz młody
„usta na licu złożył uśmiechnionem,
„ten, z którym teraz gorzkie święcę gody

„mych się ust dotknął w pragnieniu szalonym.
„Ta książka duszę nam zgubiła biedną,
„i jużemy w dniu nie czytali onym...”

Kiedy opowieść tę mówiło jedno
z dwojga nieszczęśliwych, drugie tak szlochało,
że z żalu, czułem, jak mi lica bledną,

i tak upadłem, jako martwe ciało.

A oto wyjątek z szóstej pieśni
„Czyścica”, sławna inwokacja do Italji,
w której poeta śpiewa swój ból nad
poniżeniem ukochanej ojczyzny:

„Biada, Italjo, nędzna niewolnico,
ty, coś się stała boleści gospodarą!
Nie panią jesteś, jeno ladacznicą!

Nawo bez steru nad wzburzoną wodą!
Tenci duch ramion otworzył podwoje
na sam dźwięk mowy twej—a żywi wiodą

po między sobą coraz krwawsze boje
na tych obszarach, aż zgroza bierzal!
Spójrz, nędznico, na to państwo twoje,

co o wód modrych wspiera się rubieże,
i w łono własne spójr targane srodze,
zali tam pokój oko twe dostrzeże?...

Cóż, że ci niegdyś ukróciła wodze
dłoń Justynjana, gdy pustego siodła
nikt nie dosiada na przeznaczeń drodzal!

A ty, coś winna kornie, rzeszo podła!
u stóp Cezara twego trzymać strzemię,
by tam iść, gdzie cię wola niebios wiodła,

patrz na nieszczęsną ona we krwi ziemię,
po której, jako bestja rozjuszona,
szaleje dzikie, bez wędzidel plemię!

Zaś ty, coś winien skoczyć na strzemiona,
by ją okiełznać, rakuski Albrechcie,
kędz cię wola wiedzie zaślepiona?

Gdzie twe sumienie? Sądy boże niech cię
skarca, i nad twem czołem w butnej chwale
zgrupadzą kary, jak płonące wiechcie,

że ty i ojciec twój, w chciwości szale,
miasto Włoch rządzić słoneczne obszary,
we mgłach północy tkwicie opieszale!

Spójr, jak się plami ród za rodem stary,
jak się z Montekim wadzą Kapuleci
i tylu innych bez czci i bez wiary,

i jak w ucisku jęczą twoje dzieci,
jeden drugiego gnębić się nie sroma...
Przybądź, okrutny, a wnet cię doleci

echo szlochania. Słysz, oto Roma
samotna na swem łożu wdowiem płacze
aż dniem i nocą jęki słycać doma.

„Cezarze ty mój, kiedyż cię obaczę?...
Przybądź, i spojrzyl!... A ten Bóg na niebie
—jeżeli mi wolno rzec—Ten, co tułacze

obrał tu życie, i co wziął na siebie
mękę krzyżową, której nikt nie sprosta,
zali tej ziemi zabaczył w potrzebie?

Czy może jeno na prośbę ją chłosta,
aż nie odpadnie nienawiść i zdrada
z jej kształtów cudnych, jako szpetna krosta..

„Florencjo moja! Ty być możesz rada,
iż to, co rzekłem, ciebie nie dotyczy.
U ciebie każdy o prawości gada,

każdy na ustach ją ma, iż nie zliczę
tych słów, co lecą, jako wody szkliste.
Lecz w serca spojrzeć nikomu nie życzę...

A więc bądź rada! Masz z czego zaiste!
U ciebie mądrość i u ciebie zgodal!
Czyż nie? Dowody mamy oczywiste!

Sparta, Ateny, gdzie kwitła swoboda,
i gdzie przemądre tworzone statuty,
czemże są wobec cnego lilji groda,

i przędzy ustaw kunsztownie usnutej,
gdzie się splot mądrych przewidywań
[sprzęgnie:

Marzec obala, co ustalil lutyl!...

Ileżto razy, jak ma pamięć sięgnie,
prawa, monetę, zwyczaję, ubiory,
wszystko zmieniałś. Wciąż nowy się łęgnie

kształt twej postaci! Tyś podobna chorej
co na pościeli bez końca się kręci,
coraz to nowiej smakując podpory,

a szuka jeno bólów niepamięci!!!...

Oto wreszcie jeszcze jedna próba
przekładu paru ustępów z trzydziestej
pierwszej pieśni „Raju”, prawdziwie
malarski i poetycko ekstatyczny opis
śnieżno-białej Róży mistycznej, której
płatki stanowią uświęcone duchy, i zla-
tujących się do niej złotoskrzydłych
pszczoł o płomiennych twarzach anio-
łów. Następnie pożegnanie Beatryczy
i glorja Maryi.

Tak więc w postaci róży śnieżnobiałej
te, co je swoją krwią Chrystus zaślubił,
rajskie zastępy mi się ukazały.

Tamte zaś, których lot się już zagubił
w chwale Onego co blaskiem odziany,
i co je łaską swoją przyhołubił,

jako rój pszczołek—co się naprzemiany
pograża w kwieciu i znowu powraca
tam, gdzie plon słodki na miód przerabiany—

w kwiat ów zstępują, co się ubogaca
tylu płatkami, by wzlecieć szczęśliwe
tam, gdzie Kochanie się wieczne rozżlaca.

Lica jaśnieją im, jak płomień żywe,
skrzydła się złocą, reszta się zaś bieli
niczem śnieg pierwszy, gdy pokryje niwę.

Każde zaś schodząc w kwiatu głab, udzieli
nieco zapału, i ów pokój święty,
co go wionięciem skrzydeł zaczerpnęli.

Ni też choć trochę został przysłonięty
ów rajski widok w całym swym splendorze
przez one roje rzeszy wniebowziętej.

Bowiem przenika wszędy światło boże
wedle zasługi światy niezmiernie,
iż się z niem żadne porównać nie może

Państwo rozkoszy najpewniejszej one,
co mieści dawne, jak i nowe gminy,
oko i serce w jedną zwraca stronę.

O, ty potrójne Światło, co w jednej
gwieździe jaśniejąc, niesiesz ukojenie,
racz spojrzeć na dół, w te nędzne niziny!...

I jako pątnik, w miejsce ślubowania
kiedy przybędzie, patrzy dookoła,
i w myśli składa już opowiadania,

tak ja powiodłem okiem przez te sioła
żywej światłości, w doliny przepastne
patrząc, i w szczyty niedostępne zgoła.

Widziałem wszędy lica całe jasne
świętą Miłością, w których się odbija
cudza wspaniałość, albo szczęście własne,

Coraz jaśniejsze sfery oko mija,
już niem objąłem Raju przestrzeń całą,
lecz w żadną postać wzrok się mój nie
[wpije.

I znów się z chęcią zwracam rozgorzła
do mojej pani: niech się od niej dowie
serce o wszystkim, co je poruszyło.

Następuje teraz pożegnanie poety
z Beatryczą:

Miast słów, przez oczy dusza się wyrwała,
i ją ujrzałem w tych blasków koronie,
w które zór wiecznych światłość ją ubrała.

Od tych zaś wyżyn, kędy śpią w chmur
[lonie
pioruny, aż do głębokości morza
nie tak daleko, jak przez ono błonie

światlana była dla mnie owa zorza.
Lecz to nie znaczy nic, wszak jej obrazu
nic nie zamąca śród niebios przestworzał!

„O Pani, w której nadzieję odrazu
„złożyłem całą! Ty, coś dla zbawienia
„mego raczyła tknąć się piekiel gładu!

„Za wszystkie, com je oglądał, zjawienia,
„za moc twą i za dobroć bez granicy,
„dzięki ci składam, cześć i uwielbienia!

„Tyś mię na światło wywiodła z ciemnicy
„przez wszystkie drogi, we wszelkim
[sposobie,
„co w darze masz je od Bogarodzicy!

„Niech twa wspaniałość dla mnie w każdej dobie
„jednaka będzie, tak, że gdy się z ciałą
„odłączy dusza, niech wzleci ku tobie!...”

Tak się modliłem. Ona, choć się zdała
taka daleka, wzrok swój uśmiechnięty
zwróciła do mnie, a potem się cała
znowu wgłębiła w Zród wiecznej ponęty.

Końcowy ustęp tej pieśni maluje
dojrzaną u szczytu niebiańskiej róży
piękność najwyższą, Dziewicę boską
Maryję, w glorji świetlistej:

Podniosłem oczy, i jako odnowa
rozblyska niebo porannemi świty,
iż się zachodnia część w pomroce chowa,

—podobnie z dolin, wstępując na szczyty,
oko me widzi na najwyższym skłonie
blask, którym wszelki inny jest zakryty.

I jak tam, kędy się po Faetonie
rozlał żar świetlny w niebiańskim parowie,
niebo poranne najjaśniej rozplonie,

—pogodne blasków onych złotogłowie
pośrodku lśnienie, i na wszystkie strony
równy płomieni rozsiewa pąkowie.

Zaś w tym ośrodku zaświatów korony
aniołów więcej ujrzałem tysiąca,
każdy odmiennym ruchem rozogniony,

a w lot ów, śmiechem rajskim jaśniejąca.
patrzyła piękność, co była rozkoszą
dla oczu świętych onych rzesz bez końca.

I choćbym słów miał tyle, ile proszę,
myśli wciąż nowym rozkwitłe obrazem,
nie śmiałym słuchać, jak się w górę
[wznoszę..

Bernard, gdy ujrzał mię, z jakim wyrazem
oczy w ognisko wtapiam, i jak lśnieją,
tak, uwielbienia pełen, ze mną razem

spojrzał, iż moje bardziej rozgorzeją.

Przytoczone ustępy wystarczą,
aby zalecić przekład jako do-
bry, przenoszący w wielu razach prze-
kład prof. Porębowicza tak co do mu-
zykalności poetyckiego języka, jak i co
do żywego brzmienia treści i uwydat-
nienia jej w sposób jasny i po-
ciągający.

Jeśli inne pieśni przekładu staną,
na wysokości tej samej, co wyżej przy-
toczone części, to niewątpliwie prze-
kład „Boskiej Komedji“ pióra pani Ali-
ny Świdorskiej stanie się wydatnem w
literaturze zdarzeniem, którego zlekce-
ważyć ani pominąć milczeniem nie bę-
dzie miał prawa żaden bezstronny
krytyk literacki.

Marja Hórnowska

Na polach pracy i twórczości

W PRACOWNI MALARSKIEJ ZOFJI STANKIEWICZÓWNY.

W ostatnich dziesiątkach lat
ubiegłego stulecia zabłysło wśród ma-
larek polskich kilka gwiazd pierwszo-
rzędnej świetności. Zmarłe już Anna
Bilińska i Marja Dulebianka, z żyją-
cych Olga Boznańska i Zofja Stan-
kiewiczówna należą do tej pleja-
dy niepospolitych talentów, które kul-
turze polskiej przysporzyły wiele cen-
nych i trwałych wartości.

Zofja Stankiewiczówna pochodzi
z Kresów dalekich dawnego państwa
polskiego, z tych Kresów, które mi-
mo najstraszniejszego ucisku i wy-
niszczenia, nie przestawały nigdy wy-
dawać Polsce kwiatów i nieść Polsce
duchowego chleba. Miejscem jej uro-
dzenia była Różnia w powiecie Ra-
domyskim, gub. Kijowskiej. Córka le-
karza i profesora uniwersytetu w
Charkowie, pierwsze lekcje rysunku
i malarstwa brała od tamtejszych na-
uczycieli. Szczególnie wiele skorzy-
stała, dostawszy się pod kierunek
ukraińca P. Schreidera, wielkiego fan-
tasty, człowieka po ukraińsku nie-

zrównoważonego, ale utalentowanego
malarza i doskonałego nauczyciela.
Po przybyciu do Warszawy, kształci-
ła się w szkole Gersona. Było to ra-
czej cofnięciem się od czasów char-
kowskich. U Gersona po staremu ry-
sowano z gipsów, co zniechęciłoby
mogło uczenicę mniej wytrwałą
i mniej w sztuce swej zamilowaną.
Ale silna wola młodziuchnej kresowej
niewiasty, kazała jej pracować dniami
i nocami, zwalczać trudności, szukać
swojej drogi. Potem przyszedł Paryż.
Trzy lata była w szkole Julien'a. Na
konkursie tej szkoły otrzymała srebr-
ny medal.

Miała lat 20, gdy umarł jej oj-
ciec. A ze śmiercią ojca skończyły
się studia młodej artystki. Powróciła
do Warszawy i przyszły lata ciężkie,
bezbarwne, lata walki i trudu i upor-
czywego wybijania się pracą własną,
bez pomocy z jakiegokolwiek strony,
lata kształtowania się indywidual-
ności twórczej i dojrzewania talentu.

W okresie tym powstały obrazy:
„Starożytny Kamieniec“, „Zboże“,
„Noc Podolska“ (sprzedana w Berli-
nie) „Noc Księżycowa“ (sprzedana w
Salonie paryskim). „Pilica“. Na wysta-
wie lwowskiej w 1884 r. otrzymała
Z. Stankiewiczówna srebrny medal.

Następuje epoka druga.

Stankiewiczówna malować zaczy-
na duże kartony jednobarwne, które
może najwięcej spopularyzowały jej
nazwisko. Powstają wtedy „Sosna
Cmentarna“, „Grusza w Polu“, „Wier-
zy“, „Kosodrzewia“, „Przednia Straż“,
„Dąb“, za który otrzymała pierwszą
nagrodę na konkursie Tyg. Ilustr. i t. d.
i t. d.

Jest to okres najpełniejszej doj-
rzałości talentu znakomitej malarki.
Wszystkie jej prace z tego czasu ce-
chuje skupiona w sobie siła. Pamię-
tamy wszyscy potężny, niemy tragizm
jej sosen, rozpościerających konary nad
ziemią cmentarną. Był on w dziwnym,
mistycznym związku ze wszystkimi
bólami z łamaniami się dusz naszych.
Nie znaczy to bynajmniej, by da-
wała ona dziełom swoim jakąś literac-
ką fabułę. Wcale nie. Była z tych, co
treść duszy swojej wypowiadają środ-
kami właściwymi tylko malarstwu. Ale
w tych tragicznie połamanych linjach,
w posępnej grze światła i cieni żył
krzyk opuszczonych pobożowisk, tra-
gizm spraw wielkich, przegranych.

W trzecim okresie twórczości
swojej zapoznaje się Stankiewiczówna
z nową techniką. Zaczyna pracować
nad akwafortą. Za dzieła z tego za-
kresu sypią się na nią nagrody kon-
kursowe: w Tow. Zach. Sztuk Pięk-
nych otrzymuje 3-cią nagrodę, na kon-
kursie im. Gromana 3-cią, na wielkim
konkursie im. Gromana 1-szą za „Plac
Zamkowy“. i t. d.

Już w okresie niepodległej Pol-
ski, akwaforty jej, wraz z ruchomą
wystawą malarzy polskich wędrują do
Londynu, Brukseli, Hagi, Chrystianji,
Kopenhagi, Stokholmu, Helsingforsu,
Rewla. Zachwył, uznanie i powodze-

nie, większe niż w kraju, towarzyszą
stale tej wędrowni.

Obecnie wykończa Stankiewi-
czówna 4 cykle akwafort, teke: „Sta-
rej Warszawy“, „Wileńską“, „Kra-
kowską“ i tekę p. t. „Łabędź“.

Cudne są te łabędzie! Łabędź jest
momentem liryzmu w twórczości wiel-
kiej malarki, choć i on czasem, tak
strzępi pióra, jakby się stać chciał
białą chmurą świętego gniewu, ale
częściej jest płynącym w da marze-
niem...

W KLUBIE DLA DZIEWCZĄT PRA- CUJĄCYCH „POLSKIEGO STOWA- RZYSZENIA MŁODYCH KOBIET“.

Na Powiślu przy zbiegu ulic Czer-
niakowskiej i Szarej stoi wielki dom
o licznych a szczupłych mieszkaniach
robotniczych. W domu tym, za czasów
niewoli odbywały się pierwsze wykla-
dy, „Uniwersytetu Ludowego“ i tam
tało się przez cały szereg lat niedo-
zwolone nauczanie domowe. Po woj-
nie w domu tym, obrał sobie siede-
bę, założony przez amerykańskie sto-
warzyszenia Y. W. C. A. „Klub Błękit-
nego Trójkąta“, przetworzony obec-
nie na „Klub dla dziewcząt pracują-
cych“, a kierowany przez „Polskie
Stowarzyszenie Młodych Kobiet“, któ-
re podobno nie jest w żadnym orga-
nizacyjnym związku z założycielami
Klubu. Kierowniczkami jednak pozostały
przeważnie te same i wzorują się na
amerykańskich metodach prowadzenia
instytucji tego rodzaju. Klub posiada
lokal, złożony z dwu pokoi i kuchni,
o wiele przeto dogodniejszy, niż klub
„Koła Polek“.

Jeden pokój służy za kancelarię,
drugi, bardzo obszerny, ładnie urzą-
dzony za salę klubową. Jest tu piana-
no, stoły, przy których można
czytać, pisać, robić robótki, odbywać
posiedzenia i t. d. W kancelarii —
szafa z książkami.

Trafiam na posiedzenie. Omawia-
ne są projekty wycieczek, koncertów,
zebrań wszystkich grup. Zauważyć
przytem można, że prócz kilku bar-
dziej wyrobionych uczestniczek, resz-
ta nie bierze właściwie czynnego udzia-
łu w życiu Klubu. Jakiś czas brak sa-
modzielności, jakby nadmiar opieki
tłumił swobodę poczynać.

Klub grupuje około 300 dzie-
wcząt rozmaitych zawodów: pracownice
magazynów, sklepów, introligatorni,
urzędniczek, kilka zaledwie robotnic
fabrycznych, co zadziwiać musi w tej,
par excellence robotniczej dzielnicy.

W niedziele Klub nie funkcyjnu-
je w swoim lokalu. Natomiast na bo-
isku w Saskim Ogrodzie odbywa cwi-
czenia, gry, zabawy sportowe, a także
przysłuchuje się w istniejącej tam ha-
li odczytom, koncertom, pogadankom.

W zimie, w lokalu Klubu odbył
się cały szereg pogadanek, których te-
matem była nowa Polska: Sejm, Skarb,
sanacja finansów etc. Wykładowcą
był jeden z posłów sejmowych. Po
świętach Wielkiej Nocy zorganizowa-

no rekolekcje, na które uczęszczało 240 słuchaczek. Dnia 3 maja przystąpiły one w kościele Ks. Jezuitów do Komunii Św.

Jak widać z powyższego, działalność Klubu jest bardzo rozległa: obejmuje różnorodne dziedziny życia.

KONGRES W WASZYNGTONIE.

Dn. 1-go maja rozpoczął w Waszyngtonie obrady swoje Kongres „Międzynarodowej Ligi Kobiet dla pokoju i wolności”. Na kongres przybyły przedstawicielki wszystkich części świata.

Polskę reprezentuje dr. Budzińska-Tylicka.

Prezydent Stanów Zjednoczonych wezwał Kongres do wypowiedzenia się, jakimi środkami zamierza Liga zabezpieczyć trwałość pokoju w świecie.

H—a.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

PRACA ZAWODOWA KOBIET W ANGLJI.

Angielskie pismo „The Woman's Leader”, oficjalny organ Narodowego Związku Stowarzyszeń Równouprawnienia, zamieszcza następujący artykuł pani Filipy Strachey w sprawie zawodowej pracy kobiet w Anglii:

„Ubiegły 1923 rok był niezmiernie ciężkim okresem w życiu przemysłowym i ekonomicznym Anglii. Ogromna ilość ludności robotniczej znalazła się bez pracy zarobkowej. Odbiło się to przede wszystkim na kobietach, pracujących zawodowo: bardzo wiele z nich, na skutek ogólnego zastoju, utraciło zajęcia zarobkowe, znaleźć zaś nowe w tym okresie było niezwykle trudno, nawet dla wykwalifikowanych i wysoko uzdolnionych w swym fachu pracownic.

Pomimo jednak tej prawie rozpaczliwej sytuacji, widzimy wszędzie wyteżoną pracę zawodową kobiet. Wysuwają się one wciąż naprzód, tworząc nowe drogi, tworząc nowe placówki pracy dla tych, które po nich przyjdą i których zadanie będzie już ułatwionem. Z zebranych w tej rozprawie danych statystycznych możemy śmiało wyciągnąć wniosek, że gdy ogólna sytuacja ekonomiczna w państwie naszym się poprawi i kryzys obecny przeminie, kobieta angielska, pracująca zawodowo, znajdzie się bezpiecznie w położeniu o wiele lepszym, niż przed kilku laty.

Jedynym objawem bardzo niepokojącym, jaki wystąpił w roku ubiegłym, była wyraźna tendencja czynników miarodajnych do usuwania z posad kobiet zamężnych. Akcja ta zapoczątkowana przez Radę Naczelną Okręgu Londyńskiego, i polegająca na usuwaniu z posad zamężnych nauczy-

cielek, znalazła naśladowców i w wielu innych dziedzinach pracy, tak, że w tej chwili stało się oczywiście, iż prawo kobiety zamężnej do samodzielnego zarobkowania, jest obecnie w Anglii poważnie zagrożone. Należy to oczywiście kłaść na karb zbyt wielkiej podaży pracowników przy stosunkowo zbyt małej ilości posad we wszystkich gałęziach pracy. Zjawisko to, jako przejściowe, musi niechybnie ustąpić.

Pismo nasze umieszcza stałe sprawozdania z postępu i rozwoju udziału kobiet w pracy zawodowej na wszystkich polach. Chcę więc tutaj umieścić tylko schematyczne zestawienie osiągniętych w zeszłym roku rezultatów w tej dziedzinie, tak aby interesujący się tą sprawą czytelnicy i czytelniczki mogli sobie wytworzyć ogólne pojęcie o postępie, jaki się dokonał w dziedzinie zawodowej pracy kobiet w roku ubiegłym.

Rok 1923.

Styczeń. Ogłoszenie wyników pierwszego ogólnego konkursu na wyższe stanowiska w dziedzinie pracy pomocniczej dla państwa (inspektorat podatkowy). Przyjęci: 5-ciu mężczyzn 1 kobieta.

Marzec. Kobieta mianowana sekretarką Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego.

Kwiecień. Mianowanie przez rząd kobiety jako pierwszej wyższej urzędniczki municypalnej w mieście Bengal.

Maj. Kobieta otrzymuje pierwszą nagrodę na egzaminie konkursowym na stanowisko państwowego kierownika stacji radiotelegraficznej.

Czerwiec. Kobieta otrzymuje obywatelstwo w wykonanie i oprawienie witrażów w katedrze w Exeter. Kobieta zostaje mianowaną pierwszą lektorką w Insytucie Królewskim. Pierwsza kobieta zdaje egzamin na członka Archiwum Sądowego.

Lipiec. Kobieta uzyskuje nagrodę na konkursie Stowarzyszenia Badawczych Metalurgicznych przy Królewskiej Szkole Górniczej. Kobieta zostaje wybraną na przewodniczącą Sekcji Geologicznej Naukowego Towarzystwa W. Brytanii. Kobiety uzyskują rządowe stanowiska, jako członkinie Wydziału Opieki Społecznej. Kobieta otrzymuje stanowisko duchownego w Kościele Kongregacyjnym.

Wrzesień. Kobieta zostaje przyjęta na członka Stowarzyszenia Przemysłowców w Exeterze.

Październik. Kobieta obrana przewodniczącą Kongresu Trades Union. Kobieta bierze udział jako dżokej w wyścigach konnych w Newmarket. Kobieta obrana prezydentem miasta Fort William.

Listopad. Pierwsza kobieta obrana naczelnikiem policji miejskiej (szeryfem) w Canterbury. Kobieta mianowana urzędowo członkiem ekspedycji naukowej do mórz południowych, jako entomologistka.

Grudzień. Pierwsza kobieta zostaje członkiem Zawodowego Związku Inżynierów Kolejowych”.

OBYCZAJE KOREAŃSKIE.

Jedna z podróżniczek włoskich, która niedawno powróciła z Korei, umieszcza w piśmie rzymskim „La Tribuna” ciekawy opis obyczajów koreańskich.

„Kobiety w Korei są jeszcze dotychczas poddane surowym obyczajom, nakazującym im bezwzględne odosobnienie. Jedynym równouprawnieniem pomiędzy mężczyzną a kobietą koreańską jest prawo—palenia tytoniu. Koreanka, narówni ze wszystkimi mieszkańcami „ziemi wiosennej”, nie rozstaje się ze swą fajeczką bambusową o pięciu węzłach.

Rzadko się zdarza, aby jakakolwiek kobieta koreańska — zwłaszcza należąca do starszej generacji—ujrzała przy świetle dziennym ulice i place Seutu. Dopiero, gdy o zachodzie słońca zabrzmie dzwon z wieży, wszyscy mężczyźni powracają pośpiesznie do swych domostw, a kobiety wychodzą swobodnie na przechadzkę po pustych ulicach miasta. Z nastaniem nocy nowy odgłos dzwonu przywołuje koreanki z powrotem, nakazując im wracać pod dach rodzinnego domu.

Małe dziewczynki, do siódmego roku życia, cieszą się zupełną swobodą i wychowywane są narówni z braćmi. Po ukończeniu lat 7-miu, podlegają ogólnemu prawu, obowiązującemu wszystkie koreanki, — przebywać muszą w domu rodzicielskim, ukryte przed wzrokiem wszystkich mężczyzn, za wyjątkiem ojca i braci.

Po ślubie koreanka staje się całkowitą własnością rodziny swego męża: ujrzyć ją może tylko ten ostatni oraz jego ojciec. Zamienia więc tylko jedną niewolę na inną. Obowiązek wyszukania męża dla córki ciąży na ojcu, oczywiście nie pyta on swej córki o zdanie w wyborze, zresztą—jakże mógłby ją o to pytać, skoro ta ostatnia ujrzyć może swego małżonka dopiero po ślubie?

Mąż jest całkowitym panem żony; ponosi on całkowitą odpowiedzialność za uczynki swej żony i, w razie jej ewentualnych przewinień lub zbrodni, bywa za nie karany. Koreańczyk żonaty zajmuje wyższe stanowisko społeczne, niż bezżenny, chociażby był młodzieńcem chłopcem (w Korei bowiem małżeństwa pomiędzy dziećmi nie są rzadkością).

Prawo pozwala koreańczykowi na poślubienie kilku żon, tyłu, na ile mu pozwala jego stan finansowy. Wszystkie żony mieszkają razem pod jednym dachem, przyczem prawo oczywiście milczy o tem, czy to wspólne pożycie ma być zgodnem, czy też nie. Dzieci wychowują się również razem.

Jeden tylko rodzaj kobiet cieszy się w Korei względną przynajmniej swobodą: tancerki. Wdzięczne te istotki ubierają się z wyszukany gustem i wykwiem, mają rączki małeńkie i zgrabne, jak ich siostry japońskie—gejsze, i rozdają wokół kwiaty swych uśmiechów, podczas gdy smukłe, drobne ich ciała wiją się w

wężowych przegubach dziwnych tańców wschodnich, przy monotonicznych, przeciągłych i prawie bolesnych dźwiękach muzycznych instrumentów koreańskich...

Z. B.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ KOBIECYCH

ODCZYT DR. GARLICKIEJ W KLUBIE POLITYCZNYM Kobiet POSTĘPOWYCH.

Dnia 14-V b. r. odbyło się posiedzenie Klubu Politycznego Kobiet Postępowych.

Po sprawozdaniu zarządu i ułatwieniu spraw bieżących wygłosiła referat Dr. Z. Garlicka p. t. „macierzyństwo, a praca zawodowa“.

Ze względu na ciekawy i aktualny temat, oraz na głębokie ujęcie podajemy streszczenie odczytu, sądząc, że sprawy te zainteresują szerokie koła naszych czytelniczek.

„Odsetek matek pracujących — mówiła prelegentka — zwiększa się z każdym rokiem. Wynikają na tym tle trudności i konflikty, na które nie wolno zamykać oczu. Konflikty te zjawiają się już przed przyjściem dziecka na świat — a nieraz zwiększają się i potęgają, gdy maleństwo zakwili w kolebce.

Prawo fabryczne stara się złu choć w części zaradzić, zabraniając kobietom ciężarnym pracy w zawodach trujących lub szkodliwych dla zdrowia przyszłego dziecka, oraz matki. Bez względu na poziom inteligencji matki każda pracownica fachowa musi pozostawiać swe niemowlę bez jedynej, najlepszej, niezastąpionej niczym opieki matczynej. U nas w Polsce — wobec braku wykwalifikowanych niewiast — dziecko pozostaje wogóle bez należytej opieki w chwili, gdy matka wyjdzie poza próg mieszkania.

Musimy uczyć przyszłe matki, jak się niemowlę chowa — ułatwiamy jej bowiem pełnienie przyszłych obowiązków, — do których większość kobiet przystępuje bez należytego przygotowania.

Pozatem musimy zakładać żłobki i domy dla niemowląt, gdzie matka

mogłaby zostawiać niemowlę pod dobrą i fachową opieką, gdy sama idzie do swej pracy zawodowej, musimy stworzyć domy dla matki i dziecka, gdzie matka, przerywająca swą pracę na kilka miesięcy, a często nie mająca gdzie mieszkać mogłaby znaleźć schronienie. Musimy wreszcie kształcić fachowe niańki.

Stworzenie takich instytucyj leży w interesie państwa, gdyż zmniejszy to śmiertelność dzieci, a jednocześnie zwiększy liczbę narodzin.

Ale przede wszystkim sprawy te winny leżeć na sercu kobietom pracującym, gdyż stworzenie tych instytucyj zapewni zdrowie ich niemowlętom, a im spokój moralny i możność lepszego wykonywania obowiązków macierzyńskich i fachowych. We Francji instytucje o powyższych celach wyłoniły się z kobiecych stowarzyszeń samopomocy“.

W toku dyskusji zebranie przyszło do przekonania, iż akcja samopomocy matek powinna się rozpocząć w stowarzyszeniach kobiet pracujących.

Wybrano komisję składającą się z p. Szalajowej, J. Krawczyńskiej i J. Garlickiej i polecono jej zwrócić się do stowarzyszeń kobiecych z propozycją powtórzenia u nich powyższego referatu.

KĄCIK LEKARSKI

W numerze 14-m „Bluszczu“ poruszyłam kwestję, w jakim wieku najlepiej zakładać gniazdo rodzinne i zalecałam małżeństwo w wieku dojrzałym — dla obu stron.

Ze względów moralnych przedstawia się szansa trwałszego szczęścia, gdyż obycie z ludźmi, poznanie różnych charakterów i typów i takt w postępowaniu — zdobywa się tylko z czasem... Dlatego tak prędko rozlatują się młodzieńskie pary z łada błahej przyczyny, podczas gdy starsze przeszłyby nad tem samym do porządku dziennego,

Ale jak się wpływ wieku rodziców odbija na potomstwie?

Zbyt młode matki, których organizm sam jeszcze dojrzewając, pochłania wiele energii dla siebie, nie mogą liczyć na silne potomstwo.

Kościec kobiet kończy swój rozwój do 22-go roku, a niekiedy powstrzymany być może przeróżnymi chorobami, wstrząsami, złem odżywianiem — i wtedy ta data przesuwa się jeszcze później.

Kiedy więc robota wewnątrz organizmu młodej dziewczyny jest już ukończona, czy należy ją pchać zaraz do ekspensowania sił... czy też — dać jej trochę wypocząć i wzmocnić się na dalsze w życiu prace?...

Dlatego wiek od 24—26 lat dla kobiety jest najodpowiedniejszym.

Mężczyzna powinien wtedy mieć lat trochę więcej.

Stosunek wieku mężczyzny do wieku kobiety — odgrywa pewną rolę w rozwoju potomstwa.

Zauważono (mam przed sobą właśnie statystykę) najlepszy stosunek wieku rodziców dla potomstwa w następujących cyfrach:

Kobieta od 20-30 lat — mężczyzna o 5-10 lat starszy, kobieta od 30-40 lat — mężczyzna w równym wieku.

Gdy mężczyzna ma 40—50 lat — żona powinna być młodszą np. mieć 30 lat i to samo dotyczy kobiety w tym wieku — mąż wtedy powinien być młodszym o lat parę od niej.

Wiek powyżej i poniżej przytoczonych tu cyfr odbija się ujemnie na zdolności życiowej i zdrowiu potomstwa.

Bywa naprzykład, że pierwsze dzieci bardzo młodych matek są więcej słabe, niż następne, kiedy organizm jej się wzmocił.

Przedwczesne ekspensowanie sił wpływa i na przedwczesny przekwit kobiety.

Dzieci spóźnione starych rodziców są życiowo mniej zdolne i często charłaczki.

Pewien podróżnik — etnograf powiedział mi takie spostrzeżenie:

— Czy wie Pani, dlaczego na 10 pięknych włosów przypada jedna ładna francuska?

— Nie.

— Dlatego, że we Francji wyrachowanie odgrywa dużą rolę w zawiązywaniu związków małżeńskich.

— A więc Italja?...

— Oh! c'est un pays d'amour!

Powszechnie wiadomem jest, że „dzieci miłości“ („les enfants d'amour“) są „udane“ t.j. odznaczają się dodatkami zaletami zarówno umysłu, jak i ciała.

Dowodzi to, że miłość jest biologicznym prawem, uznanem w przyrodzie i uszlachetniającym rasę.

Dr. I. Śmiarowska.

SPROSTOWANIE

W Nr. 20 „Bluszczu“, w feljtonie p. t. „Brzydkie miasto“, na str. 299, w pierwszej spalcie, w szóstym wierszu zamiast: „całe miasto Białej Rusi“ winno być: „całe miasto, leżące na granicy Podlasia i Białej Rusi“.

REDAKCJA



BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.
ATRAMENTY

92 „KOLORYT“

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA

NEO-FOSFATYNA WENDY

zdołała sobie uznanie jako najlepsza mączka odżywcza dla dzieci, starców i rekonwalescentów.

95 Skład Apteka WENDY
Krak. Przedm. 45. w Warszawie
— ŻĄDAĆ WSZĘDZIE —

Nieostrzegalnie,
trwale usuwa siwiznę

ORIENTINE

NADAJE WŁOSOM POLYSK
i MIĘKKOŚĆ-DRÓSTY w UZYSKI-
BEZWARUNKOWO NIESZKODLIWY

PARFUMERIE D'ORIENT
VARSOVIE.

Wskazówki praktyczne

KONSERWOWANIE JAJ.

W konserwowaniu jaj, oprócz samego sposobu zabezpieczenia ich od zepsucia, ogromną rolę gra miejsce, w którym je przechowujemy. Miejsce to powinno być suche, ciemne, chłodne, lecz nie przemarzające. O taki skład, szczególnie o absolutnie suchy skład ogromnie trudno, toteż rozmaite sposoby konserwowania, same przez się dobre, dają nieraz marne rezultaty. W wilgotnym składzie z jednego boku jajka formuje się czarny punkcik, a naokoło niego przysycha część białka, potem jedna strona żółtka, jajko na razie smaku nie traci, lecz już nie daje się podzielić na żółtko i białko, a zatem staje się niezdatne do pieczenia ciast.

Ze sposobów konserwowania jaj na zimę najbardziej rozpowszechnionym jest *wapnowanie*: — jaja ułożone w dużych kamiennych naczyniach zalewa się rozrobionym wapnem, wapno to zastyga, twardnieje i chroni tam jaja od dostępu powietrza, od wysychania, co za tem idzie, od zepsucia. Przed użyciem wapno się rozmacza wodą i jaja wyjmując z rozmiękłej papki. Mają one jednak — bardzo ciekawą skorupę, — na razie mogą zupełnie zastąpić świeże, należy je używać bardzo szybko, bo już po dniach kilku białko rzędnie i nie daje się zbijać na pianę, i po paru dniach następnych całe jajko nabierze jakiegoś nieprzyjemnego kwasu i tylko chyba do kotletów lub sznyceli jest zdatne. Na użytek domowy należy jaja wapnować w małych ilościach, aby każdą partję możliwie prędko zużyć!

Pokrywanie jaj pokostem i obsuszanie ich potem, nie zawsze daje dobre rezultaty, gdyż przy cienkich skorupkach, pokost udzieli czasem nieprzyjemnego zapachu jajkom.

Konserwowanie w popiele wysusza tak jaja, że czasem po kilku miesiącach jaja są do połowy puste.

Ostatniemi czasy zaczęto konserwować jaja zapomocą szkła wodnego, sposób ten starannie zastosowany daje bardzo dobre rezultaty. W desce należy poświdrować otwory tak duże, aby można było w nie wstawiać jaja, jak w kieliszki, deskę tę umocować

w nóżkach lub podpórkach, — na tej desce obsadza się jaja, przyczem wkładając je w otwory kolejno, ma się pewność, że się nie popełni omyłki przy powtórnym smarowaniu.

Szkło wodne jest produktem bardzo tanim, przy obecnej drożyznie kosztuje w lepszych drogerjach 36 groszy kilo.

Do konserwowania jaj bierze się na jedną część szkła wodnego sześć części wody, starannie miesza się oba płyny i pędzlem maczanym w mieszaninie smaruje połowę jajka, wkłada jajko tą połową do góry w otwór deski i smaruje. Następnie, gdy jajka zupełnie obeschną, co bardzo prędko nastąpi, smaruje się drugą połowę i obsusza w taki sam sposób, poczem je można układać w szuflady, szafy lub na półkach, w spiżarni na suchej, tartej słomie, lub przesypuje suchą siecawką.

Jaja do konserwowania należy brać jak najświeższe, jednak nie wprost z pod kury, a najwcześniej w 24 godziny po zniesieniu.

Jak dużą rolę w konserwowaniu jaj gra sucha spiżarnia, miałam tego dowód u siebie na wsi. W małej spiżarni, przylegającej do głównego komina kuchennego, jaja majowe a nawet kwietniowe, ułożone w skrzyni bez żadnych specjalnych środków konserwujących, nie psuły się wcale do Bożego Narodzenia i mogły być użyte do strucli i pierników.

Pani Elżbieta.

WIOSENNE ZABIEGI W HODOWLI DROBIU.

Zachęcając Szanowne Czytelniczki do chowu rasowego drobiu i w sposób racjonalny, wysunęłam opłacalność drobiu, jako główny bodziec do pracy nad urządzeniem pomieszczenia, wyborem gatunków, ras i sztuk do hodowli, żywieniem i pielęgnacją.

Z wiosną, gdy nasze krajowe zielononóżki wcześniej się wyniosą, *dadzą jaja o silnych zarodkach, o wylęgowym procencie zawsze wyższym, niż w zwyczajnej „dzikiej” hodowli.* Nierzadkie są wypadki, że zalegają się wszystkie jaja po pierwszym prześwietlaniu zestawione pod kurką.

Ponieważ znakomite nieśne zielononóżki niezbyt chętnie wysiadują, pożądane jest mieć zawsze kurki z ras cięższych, w braku tych na nasiadki doskonale się nadają indy-

czki, lub kapłony. Często trzeba indyczki, a zawsze kapłony przymuszać do siedzenia, upoiwszy wódką, w miejscu ciemnym, zacisznym i dość ciepłym.

Wogóle do wylęgania należy przeznaczyć izbę oddzielną i dobrze przewietrzaną, a wyprzątniętą dokładnie, wybieloną zawczasu, aby uniknąć pasorzytów, które bardzo łatwo opanowują nietylko nasiadkę ale i pisklęta. Kury nasadza się w kosze lub skrzynki, wypychane miałem wapiennym i wyłożone niewielką ilością siana.

Najpierw podłożyć należy kwoce kilka jaj sztucznych, aby przekonać się, jaką jest nasiadka.

Najodpowiedniejszą porą do nasadzania jest marzec, kwiecień, maj, wobec jednak spóźnionej wiosny — przesuwają się jeszcze na czerwiec kres wylęgu, również dobrze rozwijają się „snopkówki”, t. j. w okresie żniw wylęgnięte.

Zielononóżki z marca niosą się już w sierpniu, u znanej hodowczynie p. M. Karczewskiej razem ze starami kurami przechodzą „pierzenie się” i noszą jaja przez zimę. Gdzie niema racjonalnej hodowli, nawet zielononóżki — nie wykazują swych zalet.

Dobrá, wypróbowaną nasiadkę karmi się raz na dobę jęczmieniem lub pszenicą, nie zaś pośladem. Ziarno sypie się w korytka, stawiając obok świeżą wodę lub gruby ziarnisty piasek. Tamże powinna się znajdować płaska skrzynka z popiołem i wapnem w proszku, aby kura po najedzeniu wytrzeć się mogła. W ten sposób usuwa się pasorzyty. Szóściego lub siódmego dnia przegląda się jaja niezależnie usuwa. Czternastego lub piętnastego dnia czynność tę należy powtórzyć, aby jaja, w których zależki zamarły, usunąć. W racjonalnie prowadzonej hodowli — mało takich jaj bywa.

Kurczęta wylęgnięte poddawano dawniej głodówce 24 do 36 godzinnej. Obecnie szereg doświadczeń wykazał, że w miarę tego, jak są pisklęta obsuszone i wygrzane, wtedy zabierają się do jedzenia. Można im w kilka nawet godzin po wylęgnięciu sypać bułeczkę kruszoną suchą, mrówcze jajka, tarte jajko na twardo, wreszcie siekaną młodą zieleninko

W następnym numerze poruszę zawsze aktualną sprawę żywienia młodzieży i drobiu dorosłego.

Morzowska.

REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

	TEATR WIELKI	ROZMAITOŚCI	LETNI	POLSKI	MAŁY	KOMEDJA
Niedziela 25/V	ppoł. „Halka” wiecz. „Mad. Butterfly”	„Żywy Buddha” pp. „Orle” wiecz.	„On, Ona i Mama” pp. „Podatek Majątkowy” wiecz.	„Cyrano de Bergerac”	„Świerszcz za Kominem”	„Pomysł Panny Franciszki”
Poniedz. 26/V	„Marja”	„Orle”	„Podatek Majątkowy”	” ”	” ”	” ”
Wtorek 27/V	„Otello”	„Grube ryby”	” ”	” ”	” ”	” ”
Środa 28/V	„Faust”	„Orle”	” ”	„Czerwony Młyn”	” ”	” ”
Czwartek 29/V	„Noc Letnia”	”	” ”	” ”	” ”	” ”
Piątek 30/V	„Tristan”	„Ptak”	” ”	” ”	” ”	” ”
Sobota 31/V	„Carmen”	„Mężczyzna i Kobieta”	” ”	” ”	” ”	” ”
Niedziela 1/VI	pp. „Jaś i Małgosia” wiecz. „Marja”	” ”	” ”	” ”	” ”	” ”

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 21

58. Suknia z luźnym żakiem z białego bawełnianego crepe marocain, przybrana ręcznym haftem w kilku żywych kolorach.

59. Peleryna z lekkiej wełny, lub jedwabiu, przybrana wyszyciem w kratę, podbita deseniovym crepe de chine'em.

60. Strojna suknia z pomarańczowego crepe georgette, przykryta czarną, cieniutką koronką, przytwierdzoną girlandką z płaskich kwiatków koloru ciemniejszego niż suknia.

61. Kapelusz z brązowej świecącej słomy. Rondo pokryte drobnymi kwiatkami w różnych kolorach.

62. Kapelusz z granatowego bastu. Kokarda z morowej wstążki.

63. Kapelusz z crepe georgette układany z plisek, przybrany rajarami.

64. Kapelusz słomkowy objęty plisą z crepe de chine'u, otoczony płasko ułożonymi kwiatami.

65. Kapelusz z crepe de chine'u. Kokarda spięta kłamarą.

66. Suknia z popielatego kreponu, wyszyta ponsowemi paciorkami. Krawat z ponsowej aksamitki.

67. Suknia z białej markizety. Przód przybrany wąskimi falbaneczkami, wykończonymi przeciętą merezką. Szarfa amarantowa.

68. Suknia z surowego jedwabiu, ozdobiona pasami drobnych zakładek i małymi guziczkami.

69. Suknia i szal z szafirowego kreponu, wyszyte czarnym jedwabiem.

70. Suknia z lila markizety. Przód i tył plisowane, boki przybrane merezką.

71. Suknia z materji w kratę. Kamizelka biała, układana w fałdeczki, plisy z jedwabiu w jednym kolorze.

72. Palto z lekkiego materiału w kratę. Kołnierz w jednym kolorze.

73. Suknia z eponge'u w kratę. Falbanka karbowana z białego opalu, przytwierdzona kolorowym guzikiem.

74. Kostjum dla dziewczynki od lat 6 do 10. Spódniczka plisowana z woalu, żakiecik wyszyty sutaszem.

75. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 8 z białego, lub szarego płócienka, przybrana merezką i drobnym haftem.

76. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 7. Majteczki granatowe, bluzka szara płócienka, przybrana granatowym haftem.

77. Płaszczyk dla dziewczynki od lat 8 do 12 z wełny kraciastej. Kołnierz, mankiety i kieszenie z jednobarwnego sukienka.

78. Deseń naturalnej wielkości do sukni № 58.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku mód nabywać można w Administracji „Bluszczu.”

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Od Redakcji Działu Mód

Powyżej podajemy orientacyjną tabelkę, zawierającą cztery przeciętne miary.

Przy zamawianiu form zechcą Szanowne Czytelniczki wymienić wielkość (I, II, III lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

Począwszy od № 50, przy zamawianiu formy, lub wzoru, należy podać tylko numer tegoż, nie wymieniając numeru „Bluszczu.”

Zaznaczamy, że wszystkie zaległe obstalunki zostały już załatwione. Jeżeli która z Czytelniczek nie otrzymała żądanych form, lub wzorów, prosimy o powtórzenie zamówienia.

Obecnie wszelkie obstalunki załatwiane będą w ciągu czterech dni od daty otrzymania tychże.

Do dzisiejszego numeru dodajemy arkusz wzorów robót, do kopjowania na materjale za pomocą żelazka do prasowania.

Z KALOTECHNIKI

Wanda M. Grudziądz. Bardzo dobry i może jedyny radykalny środek od piegów „Petunja“ d-ra Leroux.

Porucznik M. S. Znakomity od łupieżu jest „Bisare“ ang. środek dr. Barclavy. W każdym razie głowę myć trzeba co najmniej raz na tydzień i tylko mydłem płynnym jak Raya-Rum lub Pinol.

Pani M. K. w Poznaniu. Często to tylko nazwa. Wyślemy rzeczywiście radziowany krem „Salome“ firmy Derouille w Paryżu. Niech pani smaruje przed i po myciu, cera przestanie się łuszczyć, ręce wydelikatnieją. Adres dokładny prosimy nadesłać do Kalotechniki, Marszałkowska 116. 225



QUAKER OATS



oryginalne
płatki
owsiane
dla dzieci,
chorych
i rekonwalescentów,
niezmiernie pożywne

i lekko strawne

SPRZEDAŻ HURTOWA

Tow. Akc.

Lambert i Krzysiak

WARSZAWA, NIECAŁA № 8. 228

Gimnazjum W. Giżyckiego

z pełnymi prawami szkół państwowych

WARSZAWA, ul. Puławska Nr. 113 park WIERZBNO

Tramwaje 1 i 19. Telefon 22-99

EGZAMINA dla nowowstępujących odbędą się dnia 26, 27 i 28 maja o 4-ej po poł. i dnia 16, 17 i 18 czerwca o godz. 9-ej rano.

Kilkudziesięciomorgowy park, boiska do zabaw i gier ruchowych, warsztaty do nauki pracy ręcznej, tereny do nauki ogrodnictwa. 229

Tow. Akc. Fr. KARPÍŃSKI
w Warszawie.
POLECA: O PRZYJEMNYM ZAPACHU

Mydło od łupieżu

niszczy łupież, wzmacnia cebulki, doskonale działa na porost włosów.

211

ARTRETYZM I REUMATYZM

leczy „VITTEL GRANDE SOURCE”
(FRANCJA)

SÓL NATURALNA { pudełko 12 rurek
1 rurka na litr wody

PASTYLKI o przyjemnym smaku
SKŁAD
GŁ. WNY: L. Nasierowski i S-ka

Apteka, Marszałkowska 21, tel. 30-42, 7-31 i 124-39

Sprzedaż we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

203

DORAŻNA POMOC Lekarzy Specjalistów

w Warszawie

„AUXILIUM”

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy

KONSYLJA

Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

213 PRACOWNIA HAFTÓW

MASZYNOWYCH RĘCZNYCH DZETÓW MEREZEK
OKRĘTA, OBRABIANIE DZIUREK MASZYNO WO

ANNY JUCEWICZ

WARSZAWA, KRÓLEWSKA 8 m. 9. tel. 151-52.

Dr. M. TUCHENDLER

B. LEKARZ KLINIKI PROF. LESSERA
CHOROBY SKÓRNE, KOSMETYKA
(ŁUPIEŻ, PIEGI, PLAMY, USUWANIE
BRODAWEK ELEKTRYCZNOŚCIĄ)

od 11 do 12¹/₂ i od 6-8. 221

Królewska 27 m. 1. Telef. 14-27.

W Krynicy jak ubiegłe lata

ORDYNUJE:

Dr. Med. Ludwik Korybut - Daszkewicz

Willa „Trzech Róż”

227



Zakorzeniony przesąd

ciągle jeszcze pierwszeństwo oddaje niemieckim pastom na zęby. Nasza pasta Albodont nie tylko dorównuje markom zagranicznym, lecz pod wieloma względami je przewyższa, pomimo że jest bez porównania tańszą.

J. & S. STEMPNIWICZ, Fabryka Perfum i Kosmetyków
w Poznaniu

Oddziały: Warszawa Kraków Radom
Ks. Skorupki 8. Rynek Główny 46. Piaski 12.

117

Opaski: dla pań korpulentnych, przeciw obwisłości brzucha, po operacyjne, na latającą nerwę, przeciw obniżeniu żołądka, po przebytem położu it. d.

Bandaż: na przepukliny brzucha, pępka pachwiny i t.p.

Prostotrzymacze. Pończochy gumowe i t. d. poleca bandażysta

M. Polaczek — w Samborze
180 (cenniki fr. i gr)

MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ WŁADYSŁAWA SUDYK

Przyjmujemy zamówienia terminowe z powierzonych materiałów na swetry bieliznę i t. p.

Robota wykwinna.—Wykonanie solidne i punktualne.

Warszawa, Nowy-Świat № 12
Pracownia przy sklepie. 200

Kurzajki, brodawki, czerwonosć nosa — usuwam. Zakładam kolczyki.

KLIMECKI — Warszawa, Niecała 5.

LAKTA I MILKA najmocniejsze wirówki do mleka, pracują bez naprawy dziesiątki lat. Lakta odłuszcza mleko i niepodgrzewane

OMEGA, konwie do mleka, masielnice, wygniatce, serowarskie przybory.

Biura sprzedaży:

WARSZAWA, Krakowskie Przedmieście 6.

POZNAŃ, Wawrzyniaka 14.

ŁÓDŹ, Kościuszki 29.

LUBLIN, Namieśnikowska 13.

WILNO, Końska 18.

FABRYKA TRYKOTAŻY JAN MATUSZEWSKI

NOWY-ŚWIAT 40.

175

— Sprzedaż hurtowa i detaliczna. —

SKŁAD APTECZNY Tadeusza Hermanowskiego
WARSZAWA

Koszykowa № 22, róg Mokotowskiej
Telefon № 233-05

Wody mineralne, naturalne i sztuczne.

WOSK do batików.

MIÓD prawdziwy pszczelny.

ULE i przybory pszczelnicze wyrobu:

Sp. Akc. K. MIESZKOWSKI i innych firm.

NASIONA roślin miododajnych

poleca:

ZAKŁAD PSZCZELNICZY

P. F. STEFAN MIESZKOWSKI

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

W A R S Z A W A,

MARSZAŁKOWSKA № 145.

Letnie
SUKNIE
KOSTJUMY

OKRYCIA STROJNE
PŁASZCZE PODRÓŻNE
PŁASZCZE NIEMPRZEMAKALNE

230

230

Paciorkiewicz i Lisowski

Marszałkowska 82 (róg Wspólnej)
W WARSZAWIE
Telefon 71-25

Specjalny skład naczyń kuchennogospodarczych, wyrobów nożowniczych i wszelkiej galanterji

217

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona	90 zł. — gr.
1/2 "	51 " 75 "
1/4 "	29 " 25 "
1/8 "	15 " 75 "
1/16 "	9 " — "
1/24 "	6 " — "

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia, od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.



BEZZAWODNE FARBOWANIE WŁOSÓW NA WSZYSTKIE KOLORY. HENNA L'OREAL TYLKO W FIRMIE

Bolesław Mazurkiewicz

Nowy-Świat 40, Telef. 233-60
(gdzie kino Pan)

208

PRALNIA CHEMICZNA

STEFANJI SZYCHOWSKIEJ

W WARSZAWIE, UL. MOKOTOWSKA 41.

!!! CENY PRZYSTĘPNE !!!

214

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE
GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

OBUWIE
MĘSKIE,
DAMSKIE

poleca:

C. GADZIŃSKI, Ś-to Krzyska 5, w podwórzu.



201

Prenumerata „Bluszczu”

WYNOŚI

miesięcznie z przesyłką	3 zł. 50 gr.
numer pojedynczy	1 " — "
zagranicą miesięcznie	7 " — "
zmiana adresu	30 "

Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobrania kosztów.

Wysyłkę „Bluszczu” przerywamy stanowczo w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszica Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

KRAWIEC DAMSKI

Mistrz Cechowy

NAPOLEON RODZIK

ZIELNA 4 m. 3 tel. 244-27.

POLECA TYLKO NA ZAMÓWIENIA

Letnie, Kostjумы i Płaszczы z własnych i powierzonych materiałów. 196

PRALNIA CHEMICZNA
I FARBARNIA

A. BŁASZCZYK

Żórawia 20

!!! CENY PRZYSTĘPNE !!!

198

MAGAZYN KONFEKCIJ
DAMSKIEJ

STEFANJA CEGLARSKA

Ś-to KRZYSKA 36.

202

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”—Długa 9 i I. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK”.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. [Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK” Nowy-Świat 8-10.